Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII | *Niedziela, dnia 30 lipca 1939 r.* | Nr. 31



Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Sound zostawił Danielę na miejscu co dopiero stoczonej przez siebie walki, przy pokonanym żołnierzu, nie dającym znaku życia i ruszył śmiałym krokiem ku stronie zachodniej. Niebawem zobaczył dwóch ludzi pochylonych nad czymś. Zagwizdał cicho — odpowiedziano mu tym samym. Zbliżył się do towarzyszów, lecz ci, na jego widok skoczyli ku niemu, jak przeciwko wrogowi.

— Goddam! Stójcież, do diabła, nie jestem Japończykiem — powstrzymał ich ostry głos Sounda. Udało się?

— Ach! do czarta! — zawołał Joe. — Myśleliśmy, że to drugi wartownik.

— Szybko, mister Burthon, rozebrać pokonanego i przebrać się w jego płaszcz i czapkę — rozkazywał major.

— To jest niewykonalne, sir.

— Dlaczego?

— Z tego płaszcza mogę sobie zrobić najwyżej kubrak i to jeszcze będzie mocno przyciasny.

— Za tym pan mister Morton przywdzieje ten płaszcz, jesteś mniejszy.

Rene zabrał się natychmiast do spełnienia rozkazu. A tymczasem Joe informował Sounda o napadzie.

— Nie udało się całkowicie — mówił — zmuszony byłem uspokoić go nożem., gdyż groziło nam wielkie niebezpieczeństwo. Pierwszy rzucił się na niego mister Morton, ale czy nie obliczył się z siłami, czy też napadnięty był mistrzem dżiu-dżitsu, dość, że go powalił na ziemię i byłby go niewątpliwie przyszpilił bagnetem do ziemi, gdybym nie był przyszedł mu na czas z pomocą. Nie było rady, musiałem użyć noża.

— Ha, trudno — odrzekł tylko krótko Sound. — Panie Morton, gotowe?

— Gotowe, master.

Sound zagwizdnął i niebawem przybiegła do nich Daniela.

— Naprzód pójdziemy my obaj — rozkazywał Sound, wskazując na Mortona. — Masz pan nóż? To dobrze. Na pewno otworzy nam ogrodnik, gdyż ten śpi w pierwszej izbie. Gdy tylko wychyli głowę z drzwi, ja palnę go pięścią między oczy a pan zajmiesz się jego skrępowaniem.

— Bien.

— Z drugim, z kucharzem — jakoś damy sobie radę. Jeżeli będziemy się zachowywali cicho, to cook-san nawet się nie obudzi.

Ruszyli wszyscy razem, ale przed drzwiami mieszzkania Daniela z Burthonem usunęli się za węgieł, a Sound zapukał mocno. Zaczekali. Nikt się nawet nie poruszył wewnętrz. Sound uderzył ponownie i znowu zaczęli nadsłuchiwać. Po pewnym czasie wszczął się tam jakiś ruch wewnątrz, błysnęło jakieś światełko i dały się słyszeć człapiące kroki ludzkie.

— Attentior! — szepnął Sound.

Drzwi się uchyliły i w nich stanął zaspany nieco ogrodnik, trzymając świecę w ręku. Mdły jej blask rozświetlał tylko niewielki krąg tuż przy ręce trzymającego, a mgła dusiła wszelkie dalsze rozchodzenie się blasków.

— Któż to? Czy to ty Sai-Szu?

— Ja — mruknął niewyraźnie po japońsku Sound i straszliwy cios wytrenowanej pięści Anglika spadł na twarz pytającego. Świeca wypadła ogrodnikowi z ręki i zgasła, a on sam padł w poprzek progu.

— Naprzód!

Skoczyli do wewnątrz i, świecąc sobie elektrycznymi latarkami, zaczęli szukać Thompsona, wołając jednocześnie zduszonymi głosami:

— Hallo, Thompson! Hallo, Fred!

Gdzieś wewnątrz mieszkania dały się słyszeć jakieś głosy, jakiś hałas i rozgardiasz, jakby gdzieś tam staczano walkę.

— Naprzód, mister Morton! — rzucił znowu bojowe hasło Sound i obaj panowie skoczyli do następnego pokoju, przewrócili czy nawet gwałtem wywalili papierową ścianę i nagle znaleźli się oko w oko z cook-sanem, który siedział na piersi rozciągniętego na ziemi Thompsona i z nożem w ręku, którym zamierzał przewiercić na wylot swojego przeciwnika.

Sound, nie mając czasu na zapobieżenie morderstwu inaczej, strzelił do napastnika i nóż wysunął się z jego ręki. Siedzący na piersiach Thompsona człowiek w pierwszej chwili jakby dostał zamroczenia na widok ludzi w mundurach japońskich, ale jeden rzut oka na twarze przybyszów powiedział mu w jednej chwili wszystko. Zerwał się więc natychmiast i, nie zważając na ranę przestrzelonej dłoni, z której płynęła krew, uderzył głową w najbliższą papierową ścianę i zniknął gdzieś wewnątrz mieszkania. Dwa strzały oddane szybko za nim z rewolweru Mortona nie wyrządziły mu zapewne żadnej szkody, gdyż następne poszukiwania za zbiegiem nie dały żadnego wyniku.

— Hallo, panowie, nie ma ani chwili do stracenia! — zawołał Sound. — Ten człowiek zaalarmuje natychmiast cały Pekin. — W drogę!...

Thompson nie pytał o nic i nie zastanawiał się nad niczym, ale tak, jak stał, zerwał się z swej niewygodnej pozycji i stanął przed przybyszami.

— W tym domu są urządzenia alarmowe — powiedział prędko — uciekajmy, bo niebawem będziemy mieli całą kompanię zmotoryzowanego wojska za sobą, albo na własnych karkach.

Ruszono się pospiesznie ku wyjściu, gdy już w drzwiach rękawa Thompsona uchwyciła się Fusu-Ko. Nikt na nią nie zwrócił dotychczas uwagi, a Fred najzupełniej o niej zapomniał.

— O, atanasan, czy mnie zostawiasz tutaj? — powiedziała dziewczyna.

— Jak chcesz — odrzekł pospiesznie Fred — tobie nic złego nie zrobią, bo nikt cię nie podejrzewa.

Oczy Fusu-Ko napełniły się łzami. Stała przez chwilę niema i nieruchoma, nie wiedząc, jak postąpić w tym wypadku, a i Fredowi żal się naraz zrobiło tej kobiety. Pomyślał więc, że byłoby bardzo niewdzięcznie z jego strony zostawiać ją tutaj na pastwę nie wiedzieć jakiego losu, więc pociągnął ją za rękę i powiedział:

— Uciekaj z nami!

— Hallo, Fred, do stu tysięcy najstraszniejszych smoków chińskich, co tam robisz! — zawołał Morton. — Uciekajże pomyleńcze póki czas!

Wybiegli wszyscy przed dom. Ciemno tu było i mglisto, jak poprzednio, ale od strony miasta słychać już było warkoty samochodów pancernych i motocyklów. Chwilami, gdy wozy te wjeżdżały snać pod górę, światła ich reflektorów wybijały się wysoko na dachy domów.



W śniadalni przy studio filmowym w Hollywood spotkała się artystka filmowa Deanna Durbin (po prawej) z córką-spadkobierczynią miliardera amerykańskiego Vanderbilt'a, Glorią.



Mały huzar z orszaku weselnego pewnego dygnitarza angielskiego

— Do diabła! — zaklął Sound. — W drogę, zostawcie wszystko na miejscu i niech to czart porwie. Uciekajmy!

Warkot motorów dochodził już teraz do nich zupełnie wyraźnie. Świadczyło to, że cook-san, któremu udało się zbiec, zaalarmował już odpowiednie władze, że w samotnym domu, przeznaczonym na więzienie wielkiego białego człowieka dzieje się coś niezwykłego. Napastnicy jednak nie czekali na ich zjawienie się na miejscu, ale ile sił w piersiach ruszyli pod przewodnictwem Sounda naprzód. Przebiegając koło „kamienia mandarynów", zatrzymali się na kilka chwil, aby złapać nieco powietrza w płuca i policzyć się.

— Czy wszyscy są? — spytał Sound.

— Tak, nikogo nie brak — odezwał się w ciemnościach głos Burthona, który zamykał pochód.

— Uwaga, teraz rozdzielamy się na dwie partie. Mister Burthon, znasz pan miejsce wyznaczonego spotkania?

— Yes, obejrzałem je dobrze i trafię tam.

— Poprowadzisz tamtą drogą miss Danielę i Thompsona, a my, z mr. Mortonem i tą małą Japoneczką udamy się na to samo miejsce inną drogą.

Gdy Sound domawiał tych słów, nagle gdzieś z bardzo daleka wytrysnął biały promień światła i, drgając czas jakiś na niebie, zniżył się nagle i spadł strugą blasków na nich, pokazując ich jak na dłoni.

— Reflektor! — zawołano z przestrachem. — Nie ma ani chwili do stracenia, panowie! W drogę!

Lecz już i Japończycy, którzy teraz znajdowali się przed domem Thompsona dostrzegli ich i nagle zarechotały karabiny maszynowe. Wszyscy padli na ziemię, a następnie zaczęli szybko rozpełzać się w różne strony, aby jak najszybciej uciec z zasięgu tego zdradliwego światła.

Daniela, która w chwili zatrzymania się przy kamieniu mandarynów, znalazła się tuż przy Fryderyku, uścisnęła mu tylko w milczeniu rękę, a jego oczy niebieskie i duże otworzyły się szeroko w ogromnym zdziwieniu. Nie mieli jednak ani chwili czasu na wypowiedzenie choćby dwóch słów, gdyż następne wypadki rozegrały się tak nagle, że uniemożliwiły wszystko. Teraz biegli już oboje, słysząc za sobą szybki oddech kogoś drugiego. Nie oglądali się jednak za siebie, aby nie stracić nawet ułamka sekundy, które teraz były tak drogie. Karabiny i torby z granatami ciężyły im wprawdzie bardzo i najchętniej byliby je zrzucili i uciekali z gołymi rękami, ale postąpienie takie równało się wydaniu się bez walki na łaskę i niełaskę przeciwnika uzbrojonego. Dlatego, mimo zabrania ciężkiej broni i ciążenia toreb z granatami, nie chcieli się z nimi rozstawać.

Szczęśliwie wydostali się poza zasięg reflektora, który wprawdzie szukał ich nadal swoim cyklopicznym okiem, ale nie mógł ich już jakoś odnaleźć, chociaż strzały karabinowe i z broni mechanicznej w dalszym ciągu huczały za nimi i jakieś krzyki dobiegały ich, ale były coraz cichsze i coraz odleglejsze, jakby się oddalały. Kiedy wreszcie, po kilkokilometrowym, wyczerpującym biegu zatrzymali się w zaroślach gaolianu, byli tak wyczerpani, że tchu nie mogli złapać.

Po długim dopiero czasie Fred powiedział, łapiąc ustami szeroko otwartymi powietrze:

— Gdzież reszta? Czyżbyśmy się pogubili w tej ciemnicy?

Daniela nie umiała mu odpowiedzieć, ale w tej samej chwili gdzieś na lewo od nich padły znowu strzały i Fred wyraźnie rozpoznał rechot karabinu maszynowego typu angielskiego.

— Tam strzelanina — powiedział — widocznie reszta naszych towarzyszów została napadnięta.

Lecz w tejże chwili czyjeś kroki szybko biegnące dały się słyszeć w ciemności i zwróciły ich uwagę na niebezpieczeństwo bezpośrednio im zagrażające. Thompson ścisnął mocniej karabin, gotów zmierzyć się z nieprzyjacielem. Dla pewności weszli w gaolian i położyli się na brzegu, nie zdradzając niczym swojej obecności. Po chwili kroki przed nimi stały się wyraźniejsze i niebawem zarysowały się dwie sylwetki ludzkie.

Zatrzymały się na chwilę, jakby odpoczywając. Mimo ciemności, Fred poznał, że nie są to żołnierze japońscy. Równocześnie głos męski powiedział cicho:

— Jesteś bardzo nierozsądna, madame Butterfly. Kto widział podobne szaleństwo! I w dodatku mnie spotkał ten wątpliwej wartości zaszczyt stać się twoim opiekunem. Tfuj, do kata.

— Rene — szepnął Fred ,a następnie powiedział głośniej: — Morton!

— Któż tam? — odpowiedział René, gdyż on to był w rzeczy samej.

— Chodź tu, tu Thompson.

— Do diaska! — powiedział tylko René i pociągnął za sobą swoją towarzyszkę, mrucząc po drodze. — Chodź, chodź, madame Butterfly, skoro już skazany zostałem na twoje towarzystwo.

Po chwili złączył się z Thompsonem.

— Gdzież Daniela? — spytał René.

— Jest tutaj. A tamci?

W tej chwili gwałtowniejsza niż przedtem strzelanina zdradziła im miejsce pobytu reszty towarzyszy.

XXXVI.

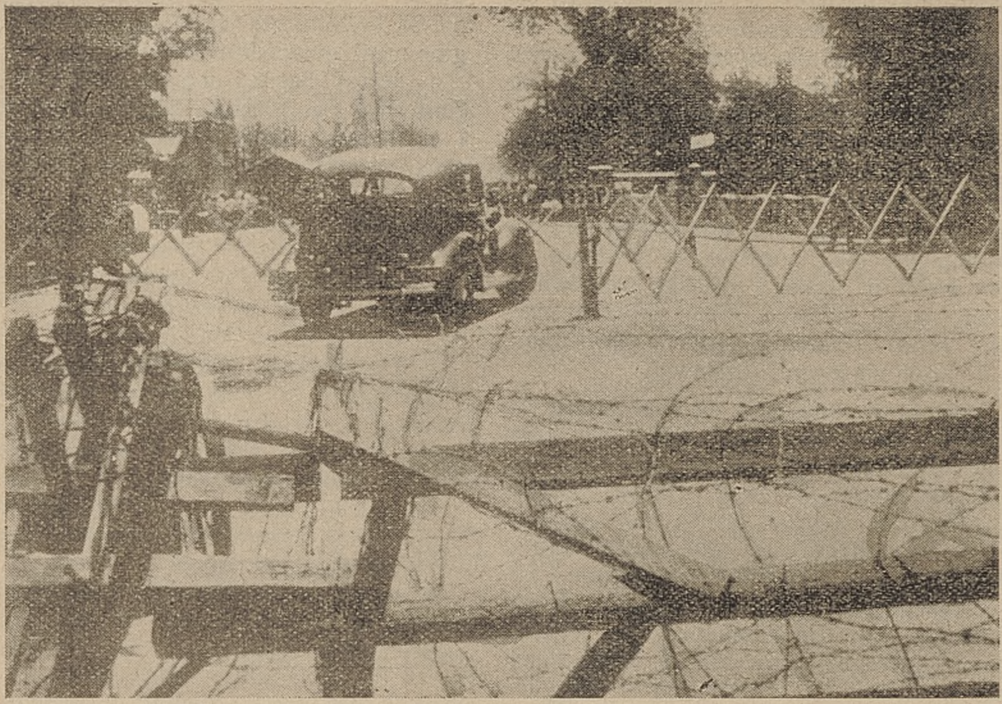
TRAGEDIA NA MORZU

Druga wyprawa pod przewodnictwem samego Fawceta udała się do Tien-Tsinu przed Lou, która miała odjechać dopiero w chwili, gdy Su-Feng da znać, kiedy to ma nastąpić. Kapitan zabrał tylko Corbina i Czenga i najbliższym pociągiem, jaki odchodził do Tien-Tsinu, pojechali przygotować wyprawę. Było to przedsięwzięcie szalone i wprost niemożliwe do wykonania, ale właśnie dlatego, że nosiło takie cechy, Fawcet miał niepłonną nadzieję, że uda mu się dopiąć swego. Był to bowiem ryzykant życiowy, który mało sto razy stawiał swoje życie na kartę, a jednak nigdy jeszcze nie przegrał. Czyżby teraz miało być inaczej? I dlaczego właśnie miałoby być inaczej?

Kiedy znaleźli się w Tien-Tsinie, zrobili na miejscu bardzo ostrożny wywiad przez Czanga, sami z Corbinem ukrywając się w miejscu, gdzie nie każde oko mogło ich



W Warszawie bawił przejazdem b. król Albanii Ahmed Zogu z małżonką Geraldyną (po lewej)



Samochody przejeżdżające przez Tien-tsin w Chinach mają nielada przeprawę przy mijaniu zapór blokady japońskiej

dojrzeć. Po godzinie wrócił do schroniska Czang i oświadczył, że kanonierki stoją o milę od brzegu na redzie, więc jeżeli przyjdą z nich szalupy po oficerów, to niezawodnie przybiją do basenu, gdzie w tej chwili nie ma nazbyt wiele ludzi i gdzie zazwyczaj zwykły przybijać łodzie ze statków wojennych.

— Jeżeli jednak przyjdzie tych łodzi kilka, master — mówił Chińczyk — obawiam się, że nie potrafimy ich wszystkich opanować.

— Spróbujemy — powiedział krótko kapitan. — Tymczasem poprowadź nas na miejsce, gdzie według ciebie powinny przybyć szalupy.

Ruszyli w kierunku morza. Po drodze Fawcet informował Corbina co do zamierzanego napadu i rozbrojenia japońskich marynarzy przynajmniej jednej łodzi w ten sposób:

— Trzeba będzie koniecznie zwabić gdzie tych marynarzy i rozprawić się z nimi. Jest to zadanie tak trudne, że zakrawa na szaleństwo, lecz kto w życiu nigdy nie ryzykuje, nie dochodzi do niczego. Dlatego i my musimy zaryzykować. Czy pan jesteś zdecydowany na wszystko?

— Tak. Jedna głowa moja, gdyby nawet spadła, nie znaczy wiele w sumie.

— To prawda, ale nieraz jedna głowa znaczy wiele dlatego, że jest dobrą głową, master.

— Jechał ją sęk!

— Mówię to panu dlatego, bo niebezpieczeństwo jest wielkie i utrata głowy prawie pewna.

— Nie szkodzi, kapitanie.

Doszli na miejsce wybrane przez Czanga. Fawcet zlustrował je, wypytał o miejsce zakotwiczenia kanonierki i w duchu przyznał, że Chińczycy nie mylili się, znał się pewnie na sprawach marynarki wojennej.

— Tak — powiedział kapitan — jeżeli szalupy przyjdą z kanonierek, to mogą one przyjść tylko w to właśnie miejsce.

— A jeżeli nie przyjdą wcale?

— Dlaczegóż to miałyby nie przyjść? — zdziwił się Fawcet.

— Mogą przecież po tak znacznych ludzi wysłać motorowiec, który ich wszystkich kolejno porozwozi na statki.

— To wykluczone. Rozwożenie kilku oficerów motorowcem nie jest praktykowane w ogóle. Tym bardziej jest to tutaj niemożliwe, że kanonierki muszą stać w rozmaitych, znacznie odległych od siebie punktach.

— Zobaczymy. Na wszelki wypadek trzeba wziąć pod uwagę i taką możliwość.

— Słusznie.

Chodzili tak z godzinę po wybrzeżu i wśród basenów, a znalazłszy jakiś skład drzewa, zapewne przeznaczonego do załadowania, weszli między deski i bale i tutaj postanowili przeczekać do czasu nadejścia wiadomości od Su-Fenga. Czang udał się z powrotem na dworzec, aby tam dopilnować żółtego towarzysza z Pekinu.

Od morza wiał silny wiatr, tak zwyczajny na tutejszym wybrzeżu i morze burzyło się i bałwaniło. Jakieś statki wychodziły z portu, inne wchodziły do niego, ładowano towary i wyładowywano je — słowem, panował tutaj tak zwykły we wszystkich wschodnich portach ruch, powiększany jeszcze nawoływaniem kulisów, grubymi przekleństwami i kłótniami ludzi, którzy czuli do siebie mniejsze lub większe urazy.

Po godzinie wiatr jeszcze zwiększył swą siłę i teraz walił już w wybrzeże z taką mocą, że schron obu agentów drżał i chwiał się chwilami, jakby lada moment zamierzał runąć im na głowy.

— Pogoda psuje się coraz bardziej — odezwał się Corbin. — Wątpię, aby przy takiej pogodzie spuszczano na morze szalupy.

— Dla wytrawnych marynarzy taki wiatr nic nie znaczy i niczym im nie grozi — odpowiedział Fawcet. — Najwyżej wyhuśtają się dobrze i to im tylko sprawi przyjemność.

— Jeżeliby jednak nasze przedsięwzięcia udały się, jak postąpimy dalej?

— Zależnie od okoliczności. Poprostu wyrzucimy naszą ofiarę do morza i odpłyniemy w kierunku, jaki najbardziej będzie nam odpowiadał. Przy takiej sile wiatru, jak obecna i przy takiej mgle, łatwo przecie można na morzu zabłądzić i nie trafić do własnej kanonierki.

Corbin zrozumiał tę myśl i przytaknął jej nawet.

I znowu nastała cisza w prowizorycznym schronie, przerywana tylko waleniem wiatru w bale i deski i hukiem niedalekiego morza.

— Ja się zdrzemnę — odezwał się znowu Fawcet — zawsze potem jestem świeższy i umysł pracuje jak naoliwiony.

— Proszę, ja będę czuwał.

Kapitan zawinął się w swój płaszcz i legł na piasku szatru. Corbin oparł się plecami o bale i rozmyślał. Upłynęło tak może pół godziny, gdy uszu Corbina dobiegły czyjeś kroki opodal, a po chwili i głosy ludzkie. Otrząsnął się natychmiast z ogarniającej go drzemki i nadstawił pilnie uszu. Byli to jacyś Chińczycy, gdyż niewyraźne słowa, jakie do niego dobiegały — właśnie na nich wskazywały.

— Jesteś bardzo nieostrożny, Su-Pej-Fu — mówił jeden głos. — Po co było zabierać ten ładunek na dworzec?

— Gdzież go miałem podziać, Li-Liang?

— Trzeba było ukryć w wagonie. Kiedy pociąg odstawią na bocznicę, wtedy czas byłby na zabranie go stamtąd.

— Wang zabronił zostawiać gdziekolwiek ładunek.

— Głupiś! A gdyby cię byli dżepen zrewidowali, co wtedy?

— Byłbym im rzucił ładunek pod nogi i uciekł.

— Gdyby ci pozwolili.

Su-Pej-Fu zaczął się cicho i złośliwie śmiać.

— Teraz ja powiem tobie, Li-Liang: głupi! Przed śmiercią nikt nie ucieknie, a gdybym rzucił im pod nogi ładunek — przyszłaby śmierć.

— I zabrałaby ciebie, głupi Su-Pej-Fu.

— Albo i nie zabrała. Jeżeli mój czas odejścia do przodków moich nadszedł, to nawet i bez tego przyszłaby do mnie śmierć

Ucichło. Obaj Chińczycy rozmawiali teraz tak cicho, że Corbin niczego już wyrozumieć nie mógł. Z tych jednak słów, które dotychczas usłyszał, wywnioskował,



Oryginalną przyjaźń zawarł gepard z żółwiem

że obaj ci ludzie pochodzili z południa, gdyż rozmawiali dialektem, jakiego w tych stronach nie używają w potocznej mowie.

Ciekaw był, kim są ci Chińczycy i o jaki to ładunek chodzi. Po trosze domyślał się, co mają na myśli: ci ludzie mieli przy sobie bombę. Lecz w takim razie z czyjego ramienia działali i przeciw komu zamierzali ją użyć?

Głosy chińskie dłuższy czas nie odzywały się, ale po pewnym czasie Corbin, którego słuch łapał najdrobniejszy szelest, znowu usłyszał:

— Kiedyż więc rzucić ten ładunek, Li-Liang?

— Gdy pociąg nadejdzie. Przyjadą nim oficerowie z okrętów, którzy byli w Pekinie. Wtedy trzeba rzucić, Su-Pej-Fu.

— A jeżeli nie wybuchnie? — zatroskał się naraz Su-Pej-Fu.

— Musi wybuchnąć, to dobry kąsek. Wystarczy mocno rzucić o bruk, a zobaczysz, jakie wyniknie z tego wspaniałe widowisko.

W tym miejscu Corbin zaniepokoił się nie na żarty. Zamiary tych ludzi zupełnie przekreślały ich plany. Obudził więc Fawceta i opowiedział mu w pobieżnym skrócie podsłuchaną rozmowę.

— Do diabła, to nam psuje wszystkie szyki! — zawołał prawie Fawcet, ale nie na tyle głośno, aby go usłyszeć mogli ludzie spiskujący opodal. — Trzeba temu za wszelką cenę przeszkodzić.

— W jaki sposób chce pan tego dokonać?

— Pójść do tych Azjatów i wytłumaczyć im bezsens podobnego postąpienia.

— A jeżeli oni, wystraszeni nagłym zjawieniem się kogoś z nas, rzucą swój ładunek pod nogi? Cóż wtedy?

— Do czarta, ot sęk! Czekaj pan, trzeba się nad tym poważnie zastanowić.

Fawcet tarł dłonią czoło, marszczył brwi i myślał usilnie. W końcu powstał i rzekł Corbina:

— Siedź pan tu, ja idę do tych ludzi. Jeżeli nie usłyszysz pan w ciągu pięciu minut wybuchu, przybądź do mnie. Będzie to bowiem oznaczać, że zawarłem przymierze z Chinczykami.

— All right! Ale uważaj pan.

Fawcet wysunął się ostrożnie ze swojego przygodnego schronu i popełzł w stronę dwóch spiskowców. Znajdowali się oni bardzo blisko ich schroniska, ale że przegradzał ich bezpośrednio od nich zwał drzewa, musiał obejść szerokie półkole i wtedy dopiero dostał się na miejsce. Chinczycy o czymś szeptali, a Fawcet położył się o dwa kroki od nich i namyślał się jeszcze nad tym, jak ma postąpić. Niespodziewane zjawienie się przed nimi mogło wywołać najmniej pożądany efekt. Dlatego po namyśle ,złożywszy dłonie w rodzaj trąbki, rzucił w stronę spiskowców wezwanie

— Su — Pej — Fu i Li — Liang — słuchajcie!

Chinczycy drgnęli niespokojnie i odwrócili się gwałtownie w stronę ,skąd dobiegło ich wezwanie.

— Słyszałeś, Li-Liang, ktoś nas woła.

— Tak, nie jestem przecie głuchy.

— Kto to może być?

— Może dżepen?

— Hallo, Su-Pej-Fu i Li-Liang — powtórzył znowu kapitan — jestem przyjacielem doktora Wanga i pragnę z wami porozmawiać. Nie jestem waszym wrogiem, ale wrogiem waszych wrogów, tych diabelskich wyspiarzy z Tokio i Kobe.

Po tych słowach Fawcet powstał na całą swoją wysokość i stanął przed zdumionymi Chińczykami.

— Nie bójcie się i nie uciekajcie — powiedział kapitan — jestem białym człowiekiem, a ludzie biali byli zawsze i są do dzisiaj przyjaciółmi Chińczyków.

Obaj Azjaci cofnęli się w pierwszym odruchu o krok, ale uspokajający głos Anglika powstrzymał ich na miejscu.

— Czekajcie, stójcie! Nie jestem waszym wrogiem, ale wrogiem waszych wrogów Japończyków. Wiem, że chcecie rzucić bombę na oficerów morskich, którzy przyjadą z Pekinu. Wiem także, że macie tę bombę przy sobie. Dlatego chcę z wami gadać, jak z dorosłymi i pełnymi powagi starcami. Nie jesteście przecie dziećmi i zrozumiecie to.

— Czego chcesz od nas, master? — odważył się na wypowiedzenie pytania Li-Liang, który w ogóle zdawał się być roztropniejszym od swego towarzysza.

— Chcę, abyście mnie wysłuchali z powagą, jak szanowni i starzy mędrcy, pełni w głowach swych roztropności — schlebiał Fawcet. — Po to tu przyszedłem. Proszę, byście poszli ze mną do schroniska, które ja mam tutaj niedaleko ze swym towarzyszem.

— Li-Liang, nie chodźmy tam — ostrzegł szeptem Su-Pej-Fu. — On nas może wciągnąć w zasadzkę. Białym diabłom nigdy nie można wierzyć.

— Głupiś, Su-Pej-Fu! — rzucił mu brutalnie w twarz kapitan, który to ostrzeżenie dosłyszał. — Masz przecie ładunek i w razie zamachu na ciebie, możesz go rzucić w moją stronę. Czegóż się więc boisz?

— Ten człowiek mówi prawdę — zgodził się Li-Liang. — Chodźmy tam.

Od tej chwili nieufność Chińczyków zaczęła stopniowo niknąć. Zanim ruszyli z miejsca, zjawił się Corbin.

— To mój towarzysz — poinformował kapitan. — Chodźmy do schronu, bo od morza wieje wiatr tak silny, jak tajfun.

Niebawem siedzieli w prowizorycznym schronisku i wywodził swoją myśl, jaka ukształtowała się już w jego głowie w czasie od rozmowy z Chińczykami do powrotu do szałasu.

— Jesteście wrogami najeźdźców — mówił — i my nimi jesteśmy także. Czemuż zatem nie mielibyśmy działać razem? Gdzie pracuje cztery głowy i osiem rąk, tam skutek o wiele lepszy. Was wysłał tutaj doktor Wang, a nas wysłali nasi doktorowie Wang. Cel mamy jeden, czyż nie tak? Wy chcecie zabić japońskich oficerów i my nie mamy nic przeciw temu, ale pragniemy przedtem zdobyć od nich papiery, które wiozą z Pekinu. A papiery te są o wiele ważniejsze, niż nawet życie stu oficerów japońskich. Na miejsce zabitych przyjdą inni dżepen i wykonają to, co w papierach stoi, a gdy im się odbierze rozkazy, zrobi im się daleko większą szkodę. A czyż nie po to wysłał was tu doktor Wang, abyście Japończykom wyrządzili wielką szkodę?

Rozumowanie było słuszne i trafiło wnet do głów Chińczyków.

— Powiedz nam, master, co teraz mamy robić, jeżeli chcesz, abyśmy działali razem? — zapytał Li-Liang.



NOC

Już noc nadeszła parna od woni
W zaroślach krzewów gdzieś słowik dzwoni...
A na zielonej trawy przestrzeni
Kładą się długie... drgające cienie...

Księżyc się w chmurnych obudził buchach,
Zabłysły gwiazdy w złota okruchach...
Na wyszebrzone blaskiem przestrzeni —
Kładą się długie... drgające cienie...

Uśpiona ziemia już sennie cicha...
Wiatr w liściach klonu cicho oddycha...
A na jeziora lśniące przestrzenie
Kładą się długie... drgające cienie...

Uśpione serca żale i troski...
Stwórca mu zsyła uśmiech ojcowski —
A na serdeczne jego cierpienie
Kładą się długie... drgające ceinie...

Zofia Borucka.



Niedyskretne zdjęcie z puszty węgierskiej. Matka zawiązuje bucik siedzącej obok córeczki

— Musicie się natychmiast postarać o jakie ubrania marynarzy japońskich — poinformował kapitan. — A gdy je zdobędziecie, przyjdziecie znowu tutaj. Tylko musicie sprawiać się szybko, szybko, bo czasu mamy niewiele.

— A gdy nam się to uda i przyjdziemy tutaj? — zapytał znowu Su-Pej-Fu.

— Powiem wam wtedy, co będziemy robili dalej.

Chińczycy się zgodzili i opuścili schronisko. W godzinę jakąś później zjawili się znowu, niosąc dwa okrwawione mundury.

— Gdzieście je zdobyli? — spytał zaciekawiony Fawcet.

— Na ulicy — odrzekł z dzikim uśmiechem Li-Liang.

Kapitan zrozumiał: widocznie napadli na ulicy jakichś marynarzy, zamordowali ich i zdarli z nich mundury.

— Ubierzcie się zaraz i słuchajcie co powiem. Dla nas tak samo jak i dla was, papiery są ważniejsze, niż życie oficerów. Dlatego papiery te musimy koniecznie zdobyć. Jak to zrobimy? Oto do tego brzegu przyjdą szalupy z kanonierek. Musimy marynarzy, którzy nimi przyjadą, obezwładnić, powiązać i ukryć. Wy obaj, jeszcze jeden z naszych towarzyszy i ja zajmiemy miejsce dżepen. Rozumiecie? Kiedy zaś oficer wejdzie do waszej łodzi, będziemy tak manewrować, aby oddalić się od innych łodzi i udamy się w dół wybrzeża, na południe w kierunku Szan-tung. Zbliżycie się do brzegu, gdzie inni nasi towarzysze już będą czekali i tam załatwimy się z oficerem. Jeżeli uda im się zagarnąć jaką dżonkę, podjadą na niej do naszej szalupy i zabierzemy oficera ze sobą.

— Yes, master, zrobimy tak.

W tej chwili dały się słyszeć czyjeś ludzkie kroki opodal schroniska czterech spiskowców.

— To pewnie Czang — powiedział Corbin, powstając.

Jakoż tak było. Właśnie nadchodził Czang z wiadomością, że chwilowo oficerowie zabawiają się na stacji. Jest ich sześciu. Dano już pewnie znać, że przybyli i czekają na szalupy.

— A może pojadą motorówką? — zapytał Fawcet.

— Nie — odrzekł Czang. — Madame powiedzieć, że oni nadawać depesze na kanonierki. Teraz czekają na szalupy.

— Zatem — do roboty, moi drodzy — powstał Fawcet.

Wysunęli się ze składu drzewa i wyszli na wybrzeże. Wicher wiał od morza z jeszcze większą teraz siłą, niż poprzednio, a wody na morzu bałwaniły się tak ogromnie, że urastały do wielkości wielopiętrowych gmachów.

— Będzie burza, jak wszyscy szatani! — zawyrokował Corbin.

— Tak, wicher wyje, jakby to wszyscy szatani wywarli się z szanowanego lokalu piekielnego i urządzali sobie harce na wodach i lądach — przytaknął kapitan. — Obawiam się jednak, mister Corbin, że przy takiej pogodzie dostojni dżentelmeni nie zechcą ryzykować przejażdżki w stronę kanonierek na tak kruchych łupinkach, jak szalupy.

— Zobaczymy.

— Yes. Czang, gdzie Su-Feng?

— Zaraz przyjść, master.

— O key!

— Schrońmy się gdzie za jaką barierę — zaproponował Corbin.

— Nie. Teraz musimy wyczekać, czy szalupy przypłyną czy też nie. Jeżeli nie przypłyną, stracimy noc i wszystko licho porwie. Genialny nawet plan rozbija się o rzecz na pozór tak drobną, jak wiatr.

— Ale ta drobnostka ma siłę 50 kilometrów na sekundę.

— Przesadzasz pan — wyciągnął Fawcet rękę na wiatr. — Najwyżej będzie 30 do 35, to wszystko.

Morze zawlokły ponure mgły, których nawet szalejący wicher nie był w stanie rozpędzić. Mgła ta była gęsta i lepka, że ją się wyczuwało na twarzach, jakby trwałą zasłonę.

— Śliczności pogoda — powiedział znowu Fawcet — właśnie taka nam była potrzebna. Jest ciemno, jak w Hadesie podczas strajku piekielnych elektryków.

— Ta ciemność ułatwi nam zadanie.

— Zobaczymy, jak to tam będzie. Ale czemuż to szanowny dżentelmen zwany Su-Fengiem nie zjawia się wcale?

— Może zatrzymało go co na dworcu?

— Nie, oto nadchodzi, słyszysz pan?

— Trudno usłyszeć cokolwiek w czasie takiej zawieruchy.

— Su nadchodzi — powiedział jeszcze raz kapitan.

Istotnie, niebawem zjawił się Chińczyk. Kapitan odwołał go na bok i spytał przyciszonym głosem, mówiąc mu wprost do ucha:

— Jak sprawy?

— Dobrze. Dżentelmeni japońscy wybierają się nad morze. Lada moment nadejdą szalupy. Widać wicher przeszkadza im w dopłynięciu do brzegu.

— All right!

Fawcet zbliżył się do Corbina i powiedział mu wiadomość przyniesioną przez Chińczyka.

— Hallo, master, attention! — zawołał naraz Su-Feng bardzo głośno, usiłując przekrzyczeć burzę. — Szalupy nadchodzą.

— Ukryć się na ziemi — rzucił rozkaz kapitan.

Wszyscy legli nieruchomo na piasku. Szalupy nadpływały. Rozrzucone były na wielkiej przestrzeni jedna od drugiej i co przybiły do samego brzegu, to musiały cofać się znowu hen na morze, gdyż fale rzucały nimi, jak łupinkami. Ludzie zgromadzeni na wybrzeżu leżeli nieruchomo, nie zdradzając najmniejszym ruchem czy szelestem swojej obecności tutaj. Lecz gdyby nawet byli normalnie rozmawiali, a nawet krzyczeli, nie byłby ich i tak nikt usłyszał, gdyż uderzenia burzy były tak gwałtowne, że głuszyły wszytko dokoła.

W końcu czterem marynarzom udało się wylądować na piasku. Burza wyrzuciła ich gwałtownie na piasek, aż powypadali z szalupy. Któryś z nich wyrzucił z ust zmielone w zębach przekleństwo angielskie.

— To jakiś bywały jegomość — pomyślał Fawcet — przeklina po angielsku.

W rzeczy samej kapitan nie mylił się wcale. Majtek ten bowiem musiał bywać w wielu portach angielskich i nauczyć się tam angielskiego wyklinania, gdyż Japończycy nie przeklinają wcale. Język ich w ogóle nie zna przekleństw.

Marynarze wyciągnęli szalupę na piasek, wrzucili do niej wiosła i schronili się za wystający brzeg łodzi przed wiatrem. Kapitan, który znajdował się nie dalej, jak o 5—8 kroków od nich, uznał ten moment za odpowiedni do wykonania napadu. Poinformował więc swoich spólników:

— Podejdziemy cicho do samej szalupy i każdy z nas wyrznie w łeb swojego marynarza z tyłu. Ale proszę bić mocno, żeby na miejscu stracili przytomność, bo inaczej wszystko przepadnie. Czy macie jakie tępe narzędzia?

Okazało się, że każdy z nich posiadał rewolwer, których rękojeści nadawały się najlepiej do zadania skutecznego ciosu.

— Zatem — w drogę.

Cztery cienie ludzkie, zlewające się z ciemnościami i mgłą, zaczęły sunąć na brzuchach ku szalupie, która zasłaniała marynarzy japońskich od wiatru. Siedzieli oni za jej burtą w rzędzie i tylko trochę czapek widać im było zza desek.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

BOHDAN LEKSZYCKI 10)

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

Inspektor do późna w noc biegał po jadalni, nieustannie mrucząc coś pod nosem.

Wreszcie usadowił się w głębokim fotelu i trąciwszy łokciem śpiącego na otomanie Sylwestra, rzekł:

— Słyszysz, stary, teraz ja się trochę zdrzemnę, a ty czuwaj!

Wypaliwszy ostatniego papierosa, zamruczał sennie:

— Psiakrew, Sylwa, ta cisza nie podoba mi się... To cisza przed burzą.

I zasnął momentalnie. U nóg jego leżał Nosek, drzemiąc i postękując przez sen, czujny był jednakże na najlżejszy szelest.

XIX.

PO ZŁOTE RUNO

Noc minęła spokojnie. Mr. Thompson, obudziwszy się o brzasku, czuł się wypoczęty i pełen zapału.

Wstał z fotela i spojrzał na ogród, w którego drzewach zaczynały się odzywać ptaki. Przyłożył czoło do zimnej szyby i trwał tak czas jakiś, dopóki nie rozległy się ciężkie kroki na schodach.

Do pokoju wszedł O'Sullivan. Podali sobie ręce.

— Czuję się dziś tak świetnie, jak nigdy jeszcze, odkąd przyjechałem do kraju — rzekł olbrzym. — Dziwię się temu i nie wiem, czemu to przypisać. Życie wydaje mi się jakieś inne, chce mi się walki, ruchu, powietrza!

Inspektor popatrzył w zamyśleniu w jego szczerą, jasną twarz.

— Nie tęskni pan do Wielkiej Puszczy?

Z twarzy O'Sullivan'a znikł uśmiech.

— Doprawdy, nie mógłbym dać na to odpowiedzi... Nie myślałem o tym.

Ożywił się nagle, wyciągając wgórę potężne ramiona.

— Nic nie mogę porównać z moją puszczą! — szepnął. — Nic w świecie! Boże, jakież tam inne życie! Rzeźwe, bujne powietrze, szemrzące strumienie — i drzewa, drzewa, drzewa! Nie chcę o tym myśleć, bo zdaje mi się, że oszaleję, że rzucę wszystko, że... Czy rozumie mnie pan choć trochę, mr. Thompson?...

Rysy jego stały się ostre i dzikie, oczy wpatrzyły się gdzieś w bezkresną dal, a uszy łowiły — zda się — poszept wiatru, niosący z sobą jakieś echa, może —

Przesunął ręką po czole.

— Mr. Thompson, niech pan nigdy nie budzi we mnie tęsknoty za tą krainą cudów... — rzekł jeszcze ciszej. — Lękam się siebie. Gdyby nie Ellen...

Coraz bliższy warkot motoru samochodowego spłoszył czarowne wizje afrykańskich pustkowi.

Wyjrzeli oknem: przed dom zajeżdżał omnibus. Wewnątrz wehikułu widniało kilka sylwetek umundurowanych konstabli. Mr. Thompson rozpoznał między innymi podinspektora Stovee'a.

Stary policjant wszedł niebawem do bawialni i po zaprezentowaniu się nadeszłym w międzyczasie misis O'Sourke wręczył im kilka paczek banknotów, wizy zagraniczne i dokumenty, stwierdzające prawo do spadku.

— Dziękuję wam, mr. Stovee! — rzekł inspektor, serdecznie ściskając rękę przyjaciela. — Spodziewam się, że nie przysporzyło wam to zbyt wiele kłopotu?

— Och, nie bardzo, czasem takie rzeczy trzeba szybko załatwić; jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Was chyba nie potrzebuję



Obóz polskiej wyprawy wysokogórskiej w Himalajach

o tym zapewnić, mr. Thompson — uśmiechnął się. — Czy państwo gotowi?

Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, odwołał mr. Thompson'a w kąt pokoju i wręczył mu niewielki notes.

— Macie tu wszystko wygotowane. Załatwiliśmy telegraficznie z konsulatem w New Yorku z „Orbisem" — macie tu bilety, — z przedsiębiorstwami komunikacyjnymi, słowem wszystko, co można uczynić dla specjalnego wysłannika Scotland Yardu...

Mr. Stovee wiedział dostatecznie dużo o karierze inspektora Thompson'a, aby móc marzyć o podobnych sukcesach dla siebie. Był jednakże człowiekiem trzeźwym i doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie opuści swego skromnego stanowiska w Queenstown.

Po chwili całe towarzystwo zajęło miejsca w omnibusie, warczącym jak zły pies. Pomknęli szosą do Queenstown, pozostawiając za sobą długie smugi dymu z gazoliny.

Mr. Stovee, któremu inspektor opowiedział mimochodem przygodę, jaka ich spotkała po wyjeździe z urzędu śledczego, okazał poważne zaniepokojenie.

— Obawiam się, mr. Thompson, że te łajdaki knują coś niedobrego. Daj Boże, ażebym się mylił!

Brzmiały jeszcze w powietrzu jego złowróżebne słowa, gdy omnibus, minąwszy ostry zakręt szosy, zatrząsł się we wszystkich spojrzeniach, a straszliwy huk rozdarł powietrze tuż poza nimi.

Inspektor i policjanci rzucili się do okien, popękanych i potłuczonych wskutek eksplozji.

O 15 łardów za nimi widniała pośrodku szosy olbrzymia, dymiąca wyrwa. Dokoła sypały się z góry drobne kamienie i ziemia, wyrzucone w powietrze potężnym wybuchem...

Mr. Stovee wyskoczył na skraj szosy, rozglądając się dokoła.

W odległości strzału rewolwerowego dojrzał sylwetkę uciekającego człowieka, usiłującego jaknajmniej odznaczać się wśród ściernisk.



Trzy urocze tancerki biorące udział w odbytym ostatnio w Paryżu konkursie baletowym

dniarzy, a nade wszystko nie wolno dopuścić, aby tak znaczna kwota dostała się w ręce przestępców. Czy wyobraża pan sobie, mr. O'Sullivan, ile banda Masske'a popełniłaby nowych zbrodni, mając do rozporządzenia miliony Stanford'a?...

Olbrzym, z właściwą sobie zmiennością uczuć, podszedł do inspektora i porwawszy jego dłoń, uścisnął ją silnie.

— Nie chciałem pana dotknąć — rzekł — lękam się jednakże o życie kuzynek, a pieniądze nie mają dla mnie żadnej wartości.

— Bóg ma w Swych rękach życie nas wszystkich — odparł mr. Thompson. — Zresztą panie same zdecydowały się ubiegać o spadek, tym bardziej, że gdyby nawet oficjalnie zrzekły się swych praw, to i tak banda nie uwierzyła w tę rezygnację...

Daisy milczała, Ellen natomiast energicznie potaknęła.

— Nie wolno nam ustąpić! — rzekła. — Byłoby to oznaką słabości, Bobie. Słabości, tak bardzo z tobą nie licującej.

Bez przygód dojechali do Queenstown i zajęli miejsca w expresie, dążącym do Dublina. Ze stolicy wyruszyć mieli samolotem do Galway, aby zdążyć na parowiec, odpływający nazajutrz do New Yorku. Najbliższy okręt pasażerski, wyruszający do Stanów z Queenstown, miał odbić dopiero za dwa tygodnie.

Inspektor, dość pesymistycznie usposobiony, jeśli chodzi o dalszą podróż, dokładnie obejrzał cały wagon, po czym wybrał dwa przedziały, wydające mu się najprawdopodobniejsze. W jednym z nich ulokował Ellen, O'Sullivan'a, Romney'a i Lo-Wo, do drugiego zaś, gdzie sam się roztasował, zabrał Daisy, Sylwestra i Noska. Przedziały te oddzielone były drzwiami od reszty wagonu, łącząc się z sobą przy pomocy wąskiego korytarza.

Ciąg dalszy na str. 613.



Prezydent Francji Lebrun urządził przyjęcie na cześć królewskiej pary Annamu — Indochiny

— Stój! — huknął za nim. — Stój, bo strzelam!

Zbieg obejrzał się gorączkowo, uciekał jednak dalej.

Mr. Stovee podbiegł do jednego z konstabli i wyrwawszy mu z rąk karabin, wymierzył starannie do uciekającego.

Padł jeden strzał, potem drugi — zbrodniarz uciekał dalej: kule chybiły.

Mr. Stovee zaklął i wystrzelił po raz trzeci. Zbieg zatrzepotał rękami i padł twarzą na miedzę. Przez chwilę nogi jego kopały ziemię, wreszcie znieruchomiał.

Podinspektor wydawszy polecenie swoim ludziom, aby strzelali do każdego, kogo ujrzą, a kto nie zatrzyma się na wezwanie, pobiegł wraz z mr. Thompson'em na miejsce, gdzie leżał nieznany zbrodniarz.

Odwrócili go, aby zobaczyć jego twarz. Inspektor gwizdnął przeciągle.

— Ostatni z Żareckich — mruknął — Mikołaj, morderca swego siostrzeńca, Karola...

Przyklęknął i ująwszy rękę trupa, przycisnął jego kciuk do poduszeczki z tuszem, którą nosił przy notesie. Odbiwszy następnie znak palca na kawałku papieru popatrzył nań.

— Tak, to on — stwierdził sucho. — Nie ulega wątpliwości, mr. Stovee. Odciski daktyloskopijne Masske'a i Żareckich znam na pamięć.

Odwrócił się, idąc w stronę omnibusu.

— I tym razem nie udało się... — mruczał, przystanąwszy nad niewielką skrzynką, ukrytą w zagłębieniu o kilkanaście kroków od szosy. Jedną nogą byliśmy już na łonie Abrahama!... Widocznie bateria fuszerowała i dała iskrę dopiero wtedy, gdy przejechaliśmy już podminowane miejsce.

Podniósł skrzynkę wraz z przewodem, prowadzącym aż do szosy i wręczył ją mr. Stovee'mu.

— Oto dowód rzeczowy — rzekł. — Możnaby przekazać to muzeum kryminologicznemu, jakie warto by stworzyć choćby tylko dla wspomnień po „owocnej" działalności Masske'a.

— Macie, widzę, humorek, mr. Thompson... — warknął podinspektor, nie tak szybko odzyskujący równowagę, jak jego znakomity przyjaciel.

Niebawem ruszyli w dalszą drogę, pozostawiając przy zwłokach dwóch konstabli.

— Czyż warto narażać się tak ustawicznie na śmierć dla zdobycia głupich pieniędzy? — wybuchnął O'Sullivan, zwracając się do mr. Thompson'a.

— Tak — odparł spokojnie inspektor — tak myślę, drogi panie. Nie po męsku byłoby dać się nastraszyć bandzie zbro-



Wąż morski, jednak więcej uroczy jak groźny

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

WĘDROWNY KWARTET

Jeden z kwartetu trzymał stare skrzypce w ręce,
Drugi — najmłodszy — grał na mandolinie,
Trzeci poprostu kochał się w piosence,
Zaś czwarty skocznie harmonią wywijał.

I szli od wioski do wioski zmęczeni,
Tak zawsze smutni (dla ludzi weseli!)
Rżnęli od ucha, wciąż w okna wpatrzeni,
Czy z nich coś spłynie dla biednej kapeli.

Najpierw z tych czterech nagle jeden umarł,
Więc zawiązało się z kwartetu trio
I wędrowało, jak przed tym, w zadumie,
Tylko harmonia już była niczyja.

I tak minęło znów miesięcy kilka,
A po nich ostry mróz zaczął źreć ręce,
I wtedy to z tria duet powstał tylko,
Bo skrzypek umarł i nie mógł grać więcej.

A w końcu został jedyny z kwartetu
I pędził szarą towarzyszów dolę,
Nie był bogaty, wciąż biedny, niestety,
Po wioskach chodził i zawsze grał solo.
— — — — — — — — —
I teraz widzę go jeszcze czasami,
Jak gra, a oczy jego szklą się łzami.

„Te - Em“.

DOBRE RADY PANI ZOFII

TRZEBA BYĆ CIERPLIWYM...

„Długas“. Myli się Pan w swych przypuszczeniach, co do obydwu spraw. Nikt nie pytał — odpowiadam Panu lakonicznie, gdyż z wiadomych względów nie chcę na łamach pisma obszerniej poruszać tego tematu. Dowodem, że Pana wątpliwości w drugiej sprawie były niesłuszne, jest dzisiejszy numer „Moich Powieści“ i zamieszczone w nim komunikaty dla Pana. W porządku? Proszę nie tracić nadziei! Bliższe poznanie, pogłębienie kontaktu z drugą osobą, przychodzi z czasem. Trudno od razu zwracać się do kogoś dotąd nieznanego z całym zaufaniem i otwartością. Pseudonim Pana jest ciekawy przez swą niecodzienność i z pewnością zainteresuje nasze „Krainiackie“ panie.

Podaję komunikaty:

„Wielkie nic dobrego“. Przesyłam Pani wiele pozdrowień. Nie mogę wyobrazić sobie Pani z Jej włosami. Jeśli Pani się zgodzi napiszę, dobrze?

Halo! „Wesoła“! Dlaczego Pani nie odpowiada. Czy ma Pani tak wiele pracy w nauce? Czekam! Pa!

„Lillarati“. Chętnie napiszę, lecz jak mój list dostanie się do Pani? Nie znam przecież adresu. Dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam.

PISZ CZĘSTO

„Księżniczka Henrietha“. Przesyłam Ci dużo miłych pozdrowień i życzę miłych wrażeń z wakacyj nad morzem. Pisz często!

OTRZYMAŁEŚ JUŻ ODPOWIEDŹ

„Młody“. Otrzymałeś już odpowiedź na poprzedni list, nie potrzebne więc były zmartwienia i bóle. Czy znalazłeś już szczerych przyjaciół? Jeżeli nie, to zamieszczam Twój apel do członków „Rodzinki“ i jestem pewna, że nie minie bez echa.

„Kochane „Krainiaczki“, kochani „Krainiacy“ — piszcie do mnie wszyscy, a zrobicie mi przez to wielką przyjemność. Zobaczycie, że „Młody“ potrafi być wdzięcznym, a w potrzebie wartościowym. Ściskam Was wszystkich“.

NUMER JUŻ WYCZERPANY

Żymełka. Pocztówkę wysłałam pod właściwym adresem. Nr-u 1 „Mojej Przyjaciółki“ nie możesz już otrzymać, ponieważ jest wyczerpany. Artykuły na wymieniony temat były zamieszczone w tymże numerze. Może pożyczy Ci kto ze znajomych wzgl. przyśle jakaś życzliwa „Krainianka“?

Dziękuję za pozdrowienia, ściskając serdecznie *Twą* dłoń.

Załączam jeszcze Twój króciutki komunikat: „Puello“! wiadomość co do śp. dr. med. Wilhelma Franciszka Ciemnoczołowskiego otrzymałaś, prawda?

Dla całej „Krainy“ posyłam serdeczne pozdrowienia.

ADMINISTRACJA ZMIENIŁA TWÓJ ADRES

„Indianka“. Administracja zmieniła Twój adres, numery na pewno otrzymujesz. Nie zapomnij tylko donieść mi, kiedy powrócisz z obozu, ażebym mogła na czas polecić wysyłać Ci pismo na dawny adres.

Pozazdrościć można Tobie takich długich wakacyj w obozie harcerskim w pięknej okolicy górskiej. Skorzystaj jak najwięcej z nich.

Za pozdrowienia dziękuję Ci, przesyłając dużo serdeczności.

„Indianka“ pozdrawia również całą „Krainę“.

NIE MOGĘ SPEŁNIĆ ŻYCZENIA

„Romeczka ze Lwowa“. Jesteś naprawdę dzielną dziewczynką, nie każdy zdobywa się na pracę tak pełną poświęcenia i całkowitego oddania się powierzonej sprawie. Mimo najszczerszych chęci nie mogę przesłać wiadomego po wieści. Posiadam tylko jeden jej egzemplarz i to w dodatku rękopis, z którego drukuje się. Uważaj więc mnie, Dziecinko, za usprawiedliwioną.

Halo, Krainiacy! „Romeczka ze Lwowa“ nie zapomniała o Was, myślami i sercem jest zawsze z Wami. Wszystkim, którzy w jakikolwiek bądź sposób o niej pamiętali, wyraża swe najnajgłębsze uczucie i zapewnia, że o ile na jaki zew nie odpowiada, nie czyni tego z niedbalstwa lecz naprawdę z braku czasu. Teraz obiecuje się poprawić i na każdy zew odpisać.

Ściskam mocno Twoje łapki i całuję serdecznie.

POWIERZYŁAM SPRAWĘ ADMINISTRACJI

„Tyran“. Sprawę administracyjną powierzyłam „kompetentnym czynnikom“. Projektu Twego, wesoły urwisie, nie zamieszczę w „Krainie“ w myśl Twego życzenia, chociaż jest dowcipny i zasługiwałby na opatentowanie. Jak to z tymi komunikatami? Zamieszczałam wszystkie skrupulatnie.

Oczekuję sprawozdania z podróży po sprzymierzonych państwach. Czy doczekam się? Chociaż wiem, że słowa moje nie dosięgną Cię na razie, przesyłam moc serdecznych pozdrowień (również od Wujka Janusza), by powitały Cię wracającego do kraju.

Będę pamiętała i wybaczam.

PRZYJEMNOŚĆ!

„Rozmarzony błękit“. Sprawę administracyjną załatwiłam. Czy dowiem się coś bliższego o wycieczce krajoznawczej? Wiersze przekazałam Wujkowi Januszowi. Zamieszczam komunikaty:

Krainiacy! Na krótki czas żegna Was „Rozmarzony błękit“, proszę się nie smucić, gdyż pomimo zniknięcia „Błękitu“ słonko świecić będzie. Serdeczne pa!

„Uśmiech Szatana“! Interesujesz mnie, gdzieś Cię musiałem widzieć. Powiedz, gdzie mieszkasz, czy nie jesteśmy przypadkiem sąsiadami. Serdecznie pozdrawiam. Jeżeli życzysz sobie wesołości, napisz.

„Jaśka“. Czemu tak długo milczysz? czy w głębi szczęścia utonęła pamięć o Wiesławie? To niegrzecznie tak długo nie odpowiadać. Pisz. „Pa“!

„Sportsmenko z Kujaw“. Czy naprawdę mój pseudonim jest piękny? Serdecznie pozdrawiam i dłonie mocno ściskam.

WIERSZYK I KOMUNIKATY ZAMIESZCZAM

„Niesforna Lulu“. Wierszyk Twój i komunikaty zamieszczam, zasyłając dla Ciebie uściski. Pozdrowienia odwzajemniam tym wszystkim, którzy o mnie pamiętali w „Krainie“. Wszystkich tych, którzy wysłali do mnie listy w czerwcu br. przepraszam za zwłokę w odpowiedzi. Jestem zajęta tak bardzo pracą zawodową, że nie zostaje mi nic czasu na zebranie myśli i napisanie odpowiedzi. Stan ten potrwa do 15 lipca br. A więc przepraszam i proszę o zrozumienie.

PRZYSŁOWIOWE „ODEZWANIE NOŻYC“...

Nazwałaś mię brzydką — czemu to Chochliku?
wszak ja mam pretensję do piękności właśnie
Wprawdzie Pell śmie twierdzić, żem „kluseczką“
— dziką —
żem złośliwa wielce, więc mię czeka... łaźnia...
ale to nieprawda! — niech Przylepka powie —
jak potulna jestem — więc serce się kraje
gdy czytam w „Krainie“, żem zbyt śmiała
w słowie —,
jak Przybłęda Leśny o „niesfornej“ baje.
Już nie wiem jak przeczyć, żem wcale nie
brzydka,
że od złośliwości jam zawsze daleka —
Żem wcale nie kluska, żem niby wąż — gibka
że tylko się poznać trza na tych „zaletach“!
Ach wiem już co zrobię — napiszę do Zosi
Ona wnet Krainę do Lulu przekona
I Uśmiech Szatana o liścik poprosi
bo Lulu ma pietra — już była sparzona.
Więc z góry się cieszy ma niesforna dusza
i z radości omal, że dębem nie staje —
Nic to, że Pell groźnie ku mnie wąsem rusza
wiem, że mnie zbyt mocno na pewno nie złaje.

„Niesforna Lulu“.

UŚMIECHAJ SIĘ...

„Mickey - Mouse“ pisze: „Trzeba się śmiać, gdy jest z czego i uśmiechać się, gdy jest do kogo..“ Ładny pogląd, Dziewczynko, gdyby więcej ludzi podzielało z Tobą to zdanie, było by na świecie radośniej.

Zawsze znajdzie się powód do śmiechu, trzeba tylko z pewną dozą umiejętności wyłaniać z naszej codzienności odpowiednie momenty i wciągać je na ekranie humoru w sposób dowcipny i nietrywialny. To ożloci monotonne, ciche dni.

I zawsze w życiu ma się kogoś bliskiego, czy nawet dalszego, dla kogo nasz uśmiech może być przyjemnością, zadowoleniem, szczęściem. Warto wtedy rozpromienić twarz szczerym, dobrym uśmiechem, wzamian za najmilszą świadomość, że się komuś rozjaśniło ciężką chwilę.

Komunikaty:

Halo! Halo! — tu „Mickey-Mouse“ Pukam i stukam do serc wszystkich „Krainianek“ i „Krainiaków“, by zechcieli do mnie skrobnąć słóweczko, (może być jedno z najmniejszych), Lecz w zamian za to spotka Was kochane „Krainianki“ i „Krainiacy“ — listonosz, który doręczy Wam liścik zagryzmolony przez „Mickey“ Nie wystraszcie się tego pisma, lecz uważnie przeczytajcie — no i odpiszcie. — Serwus!

„Buńczuczny Łobuz“ — Kochanie, na razie zasyłam Ci buziaka, liścik później.

„Maleńka Halszka“ Za pozdrowienie i całus, który stokrotnie odwzajemniam, dziękuję. Miło by mi było otrzymać liścik od Ciebie Kochana.

„Biały Wrzos“ — przesyłam Ci cały wagon całusów, wraz z prośbą o liścik.

„Czekoladowa Księżniczka“ Ojej! — aż mi ślinka do ust płynie, chętnie bym zjadła, „Księżniczkę z czekolady“, bo ze mnie łakomczuch nie mały. Boję się tylko, by mnie cała „Kraina“ z Panią Zofią na czele nie ukarała. Zadowolę się tylko przesłaniem milusińskiego pozdrowienia „Czekoladowej Księżniczce“.

„Mała Jasieńka" Jesteś kochaną dziewczynką. Pa!

„Biała Lilijka" Mamy równe upodobania. Czy zechciałabyś ze mną korespondować?

„Góraleczka" — Podobasz mi się na zdjęciu, ja przepadam za górami. Przyjm milutkie pozdrowienie.

„Wesoły dowcipniś w mundurze" — Jeżeli masz ochotę do pisania, to sypnij do mnie pełen dowcipu list, a zrewanżuję się także. Pozdrawiam.

Milutkie pozdrowienia dla: „Maleńkiej Reri", „Zazy", „Złotej Jutrzenki"; „Smutnej Ślązaczki"; „Dzinki"; „Wiedźmy z Debry"; „Uśmiech Szatana"; „Stokrotki"; „Wesołej Maruszki"; „Marzącego Puszczyka"; „Promyka"; „Urana"; oraz dla wszystkich co się w Krainie znajdują.

PRZYJMUJĘ PANA

„Goździk Polny". Przyjmuję Pana do naszego grona i życzę, ażeby dobrze się Pan czuł przy „Rodzince". Wierszyk Pana jest za słaby do druku. Nie ma w nim rymu. A teraz zamieszczam komunikaty:

„Wesoła Różyczko". Razem zakwitamy, więc przyjm ode mnie wesoły uśmiech i szczere słowa przyjaźni.

„Marzycielka". Czy rzeczywiście jesteś taka marzycielska, jak mówi Twój pseudonim?

„Smutna Mariola". Myślę, że potrafiłbym Cię rozweselić i wywołać uśmiech na Twej twarzy.

„Czarodziejka". Chciałbym się przekonać, czy jesteś czarująca.

„Wędrowna Chmurka". Nie wesołą miałem podróż, gdy spotkałem się z Tobą. Przyjechałem do domu zmoczony „do ostatniej nitki". Czemu jesteś taka niedobra.

Wszystkim „Krainiakom i Krainiankom" przesyłam moc pozdrowień i proszę o pamięć.

PUSZCZA

Kosmate wichry opadły
w złowróżebną ciszę —
w lianach splątanych słońcem,
puszcza się kołysze...

Niebo napływa liliowym
horyzontem zmierzchu —
Stłumione szepty — w zielonej
głębi drzew szeleszczą...

Strzała słońca napięta
cięciwą wieczoru,
w mięśnie drzew wtapia ostrze
splamione rdzą kory...

W trzaskach wiotkich gałęzi
Zwierz się skrada ścierzyną —
chwila... gąszcze paproci
rubinową krwią spłyną...

Gwiazd kryształki niebieskie
prószą srebrną rosą...
Szmer gałązek... jak gęśle
dzwoniące dwugłosem...

I szumi puszcza senna,
głucha, tajemnicza...
Dojrzewa noc — granatowym
owocem słodyczy...

Józef Baranowski.

KTO POINFORMOWAŁ CIĘ?

„Szepcący". Cieszę się, że dałeś znowu znak o sobie. Na prawdę z zadowoleniem czytam listy Twoje, bo nie ma w nich samych żalów i wyrzutów.

Ciężko na prawdę pracować, gdy jest cudna pogoda albo upał. Masz słuszność, że umysł jest wtedy ociężały i niezdolny do intensywnego myślenia. Nie pragnij jednak zmiany pogody, bo na pewno wszyscy, którzy spędzają swoje wakacje byliby bardzo niezadowoleni.

Zaciekawiło mnie, kto poinformował Cię o wyglądzie zewnętrznym Wujka Janusza i moim. Ty przecież nie byłeś w Żninie. Muszę Tobie jednak donieść, że pomyłka jest w latach tak u Wujka Janusza jak i u mnie. Pamiętaj, pozory często mylą!

Komunikaty zamieszczam w całości:

Za miłe pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam: „Góraleczce" i „Halinie Ślązaczce".

„Samotna Blondynka" Gniewam się na Ciebie. Wiesz już dlaczego.

„Chabry z nad Gopła" Za pozdrowienia serdecznie dziękuję. Skrobnij do mnie, a otrzymasz odpowiedź żelbetonową. Tymczasem przesyłam milutkie pa!

„Żena z Mogilna" Ktoś Ty? Serdecznie pozdrawiam.

„Róża Leśna" Za życzenia imieninowe bardzo dziękuję, a na zmycie głowy oczekuję z cierpliwością. Tylko proszę Cię nie za mocno, bo jestem wątły.

„Serduszko" Serdecznie pozdrawiam „Nałamane serduszko" Jesteś morową dziewczynką! A oczy Twoje zdolne uwieść nie jednego „Krainiaka" i znów „Tyran" by miał robotę nad dawaniem recepty na odkochanie a z tym by było trochę gorzej. Więc drodzy „Krainiacy" uważajcie, bo „Serduszko" nie śpi tylko kusi!

„Ejgo-Ejgo" i Wirryl" Cwaniacy to jesteście, lecz władza Wasza zachwiana, bo znam wasze incognito.

Ślę miłe pozdrowienia: „Marzącym oczom" „Śniaduli"; „Rajskiemu ptaszkowi"; „Roześmianym oczom"; „Romeczce ze Lwowa"; „Czarnej Penelce"; „Bella Donnie"; „Pensjonarce"; „Skarabeuszowi"; • „Amneris"; „Szukającemu Dziewczątku" i „Fakirowi" z prośbą o liściki.

Osobne pozdrowienia dla wszystkich sztubaczek.

Całą „Krainę" pozdrawiam.

KOMUNIKATY ZAMIESZCZAM

„Słoneczna Jasieńka". Komunikaty Twoje zamieszczam poniżej)

Wszystkim którzy nadesłali mi życzenia imieninowe, składam tą drogą serdeczne „Bóg zapłać!"

Weni A. odwzajemniam promienne uśmiechy.

„Koralowym ustom" „Marucie" i „Dzikusce" ślę moc szczerych dobrych życzeń!

„Aniela Wolna" W podzięce za wiersz pt.: „Ofiara" ślę Pani jedno życzenie: Oby Bóg dobry obdarzył Panią tym wszystkim, co się nazywa prawdziwą radością i szczęściem!

„Jadwiga Limba" Wszystkie Pani wiersze sprawiają mi ogromną radość. Pani musi być bardzo, bardzo dobrą. Czy zechce Pani choć maleńki wierszyk dla mnie napisać?... Będę bardzo wdzięczna. Ślę dużo słonecznych pozdrowień!

„Lucet" Owszem, Maleńka, „chętkę" mam więc co... napiszesz?

„Smutna i Brzydka Irka" Buziaczka odwzajemniam, a jaok procent ślę mocny uścisk!

„Złoty promyczek słońca"; „Carmen"; „Smutna Tatiana"; „Słodka Dary"; „Zaira"; „Marzenka z Ameryki"; „Dania"; „Mała Jasieńka" i „Czarny Hajduczek" mają ode mnie moc serdecznych życzeń.

Dla „Irusi z Wołynia" i „Panienki z warkoczami" uśmiechy promienne.

„Wiochna" Wolałabym, żebyś napisała pierwsza!

„Ejgo-Ejgo" i „Kazimierz Junoszyc" Dziękuję za pozdrowienia i serdecznie je odwzajemniam.

„Złoty jaśmin" Pozdrawiam Pana „krainiackim pozdrowieniem.

„Duży Dzieciak spod lasu" Całuję Cię mocno Jasieńko!

„Safo" Czy M. R. to Pani? Pozdrawiam. Całej „Kraince" ślę serdeczności.

PRZESYŁAM POZDROWIENIA

„Wesoła Wdówka". Naturalnie, że nie dostaniesz bury, nie mogę się przecież gniewać na Ciebie i mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ażebym kiedyś miała gniewać się na „Wesołą Wdówkę" Zamieszczam litanię (jak sama określiłaś) komunikatów i przesyłam dla Ciebie pozdrowienia.

„Tyran" Nieprędko chłopczyku napędzisz mi strachu. Okienka moje wysoko, nie można w nie bezkarnie zapukać. Zresztą Polki niczego się nie lękają i mogą śmiało narówni z Wami iść w szeregi, a w najgorszym razie paluszki bandażować, bo się już uczymy. Łączę milutkie pozdrowienia, a może coś napiszesz „Tyranku" do mnie, chętnie pogawędzę z Tobą.

„Samotny Chorzów I" Czy dostał Pan odpowiedź na swój list? I co się w nim nie podobało, że tak zamilkłeś? Uściski dłoni.

„Wesoła Nadyni" Jesteśmy oby dwie nowymi bo i ja od niedawna należę do „Krainy", za tym podajmy sobie rączki. Może napiszesz coś do mnie nieznana siostrzyczko. Dobrze? Pa!

„Edzio" Przyjm piękny uśmieszek i ładne oczko zwrócone w Twą stronę. Faworyzuję Edków.

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny" Moje oczki nie zawsze takie roześmiane, jak Ty je kochana widzisz. Czasem i mgła smutku je przysłoni. Posyłam Ci miluśkie „Pa" Może coś napiszesz.

„Samotny S." Nie chce mi się wierzyć w prawdę Twego pseudo. Czy tak trudno to zmienić? A może Ci z tym wygodnie!! Ślę Ci uśmiech łobuza.

Ciekawa jestem, czy jest kto w „Krainie" z okolic Krakowa, Bochni. Proszę napisać. Ślę wszystkim moim imienniczkom Steniom i Stefanom moc pozdrowień. Wszystkim Sympatykom Pa!

NAJWAŻNIEJSZE — BYĆ DZIELNĄ!

„Lucet". Moje Dziecko, tak już bywa, że człowiek przez całe życie goni za nowymi wrażeniami, odmiennymi od wrażeń dnia powszedniego. Popychany tym — pewnego rodzaju — kompleksem, pozostawia nieraz za sobą prawdziwe piękno, by w gonitwie za czymś nowym ...znaleźć jego namiastkę. Nie bierzmy jednak tak surowo tej sprawy. Zmiana otoczenia, nowe środowisko, nieznane dotąd okolice — wpływają dodatnio na ustrój nerwowy, dając nerwom ukojenie. Zwłaszcza osoby, pracujące fizycznie, powinny w okresie wakacji zmienić miejsce zamieszkania.

Więc wyjedziesz, Dziewczynko, z miłej miejscowości, zmuszona warunkami życiowymi. Tak już bywa: „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi"... Przypuszczam jednak, że będziesz dobrze czuła się w nowym środowisku. Najważniejsze — być dzielną!

Komunikaty:

„Jadwiga Limba". Jadziu! przecudny jest Twój wiersz: Polska. Całuję Cię mocno, mocno za niego!

„Safo". Ściskam serdecznie wyciągnięte do mnie dłonie przyjaźni i całym sercem odwzajemniam pozdrowienia.

„Ass". Nie wiem, w którą stronę słać uśmiechy... czy jeszcze ciągle w stronę Egiptu, czy już w stronę K.? Pozdrawiam.

„Kraince" całej moc serdeczności.

„Lucet".

KTO NAPISZE DO SMUTNEJ DZIEWCZYNKI?

„Mój Świat". nowa Czytelniczka „Moich Powieści" wstępuje oto do Krainy i tak się przedstawia:

„Jestem poważna. Życie moje, choć tak krótkie dotychczas, nie szczędziło mi bolesnych ciosów. Jestem więc pełna głębokiego smutku. Tak ciężko żyć nie raz. Mam niekiedy chwile zapomnienia, przeważnie dzięki „Kraince". Z tyc hkochanych białych kart śmieje się do mnie mój „cały świat. Kocham wiedzę, poezje, sztukę i przyrodę.

Lubię przebywać w lesie i wdychać w siebie piękno, wraz z wonią balsamiczną igliwia i ziół.

Lubię stać nad jeziorem o niezbadanych głębiach, słuchając rytmicznego plusku fal.

Lubię słońce, kwiaty... Kocham piękno..."

Myślę, że Krainiacy wysondują sobie sami zdanie o „Moim świecie" na podstawie wyżej przytoczonych zdań — i dołożą wszelkich starań, aby Miła, Smutna Dziewczynka, o wiele mówiącym pseudonimie „Mój Świat" mogła naprawdę powiedzieć sobie i mnie, że „Krainka" leczy smutek łagodnymi i dobrymi słowami swych Córek i Synów. Więc Kto napisze do „Mojego Świata"?

NIE MOJA WINA

„Gałązka Świerku". Nie mogę oprzeć się chęci przedrukowania części Twego listu. Przemiła Gałązko Świerku, do wiadomości wszystkim Krainiakom:

„Przede wszystkim dziękuję bardzo za tych kilka serdecznych słów, oraz za zamieszczenie apelu. Może ktoś dłużej zatrzyma na nim wzrok i czyjaś ręka skreśli do mnie list. A potem... Potem przyjdzie listonosz z wielką skórzaną torbą i wyjmie z niej list do „Gałązki Świerku". Ach co to będzie za radość! Ciekawam kto do mnie napisze. A może nikt? Bo i cóż to gałązka świerku taka pospolita, tyle ich jest, ale niech każdy pamięta, że inne najpiękniejsze kwiaty więdną, a gałązka świerku jest najtrwalsza i zawsze zielona. Prawda?"

Jestem pewna, że otrzymasz dużo listów i że „Rodzinka" nie zapomni o Tobie.

Nie moja wina, że tak długo musiałaś czekać na odpowiedź. Listów wpływa co dzień

dużo, muszą więc czekać na swoją kolej, aż zostaną załatwione.

Wcale nie gniewam się na Ciebie, Drogie Dziecko. Wiem, że zawsze dobrze mi życzysz.

Na pewno jesteś już po wakacjach, prawda? Czekam na list z opisem tych miłych dni.

Pozdrawiam Ciebie i „Sosenkę" bardzo serdecznie i oddaję Tobie głos.

„Sławie" oraz „Czarnemu Diabełkowi, dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam się słonecznym uśmiechem.

„Małej Mysz" również dziękuję, może napisze Pani do mnie, bardzo by mię to ucieszyło.

„Ta-joj ze Lwowa" oraz „Romeczka ze Lwowa" — przyjmijcie pozdrowienia. Jestem też lwowianką lecz już kilka lat mieszkam na Pomorzu.

Może skrobniecie do mnie, co słychać nowego w naszym starym Lwowie?

Całej „Rodzince" ślę moc pozdrowień.

DŁUGO OCZEKIWANY POWRÓT

„Szukający". Cieszę się z powrotu Twego do Krainy nie mniej jak ów ojciec z powrotu marnotrawnego syna. Listy wysłałam. Pozwalam łaskawie „buszować" po Krainie i szukać... szukać... Ciekawe są te długie wywody na tematy krainiackie, mówią mi dużo o Tobie właśnie. Pozwolisz, że drobny ich wycinek podam Krainie do przejrzenia.

„Przejrzałem całą „Krainę" począwszy od lipca i wypisałem wszyściutkie pseudonimy. Potem ułożyłem je w porządku alfabetycznym (ma się rozumieć tylko Krainianek). Zebrało się tego 442. Na dowód, że nie bujam, powiem, że najwięcej jest na „S", bo 71, potem na „M", bo 50 itd; po 2 pseudo na „E" i „O" (Eden, Elka, Orlica, Ovambo). Jest jedenaście „samotnych", dziesięć „smutnych", sześć „białych" a aż szesnaście „wesołych" itd. Widzę, że nie brak Ci dowcipu.

Nie każdemu życie układa się tak pomyślnie, a zatym masz wszelkie powody do radości i zadowolenia z życia. Carpe diem! Wysyłam najprzyjaźniejszy uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Kochani! I znów chcę szukać w „Krainie". Jeżeli macie ochotę poflirtować beztrosko, albo pomóc w szukaniu, pamiętajcie: J. R. Poznań, Kochanowskiego 22 m 7.

„Złotowłosa". Właśnie przez Panią znów się odezwałem. Proszę mnie prowadzić, bo inaczej — być może — znajdę właśnie Panią.

„Zo-mulatka". Gdybym to wiedział czego szukam... Jest taka piękna ballada o Peer Gyniu...

„Romeczko ze Lwowa". Twoja fotka, mym zdaniem, jest najśliczniejsza odkąd znam „Krainę", jak również zdjęcie „Irusi z Wołynia" i „Białej Uajali".

„Słodka René". I wcale się nie sprzeniewierzam. A czy znalazłem? — Nie poznałem Cię jeszcze...

„Lang-Heng". Widzę, że wśród młodszych koleżanek były przemilutkie — a ja ich nie znam. Na pewno byłem Twoim prezesem, więc musisz mi się zameldować, dobrze?

„Uluta". Znam milusią Twoją imienniczkę. Dziękuję Ci za serdeczność. Uśmiałem się z Twoich pogwarek z „Lan-Heng". Kiedy się poznamy?

„Kochane Dziewczątko". No i doczekałaś się. A fotkę to dam Ci osobiście, ale musisz się zgłosić!

„Blady Płomień". Jeżeli mieszkamy blisko, to dlaczego jesteś tak niedobra, że trzymasz się z dala?

„Brzydula z najbrzydszych". Chcę mieć wśród znajomych choć jedną brzydulę — na lekarstwo...

„Duży dzieciak spod lasu". Dziękuję za całusy — chcę się zrewanżować...

„Roześmiane oczy". Dziękuję za życzenia. Może od Pani zależy, czy się one ziszczą...

„Wesoła i śliczna Krysia". Przypominasz mi kogoś przez kogo milczałem czas jakiś w „Krainie".

„Błędny Ognik". Zmieniam się w „poszukiwacza pereł" jak to Pan ślicznie umyślił. Mam do Pana szczerą i głęboką sympatię.

„Burza". Musisz być śliczna. Dlaczego nie mogłem odnaleźć w „Krainie" więcej o Tobie?

„Farida". Pamiętam, na zjeździe „Krainy" rzucono uwagę, żeś podobna do tej, którą uważałem za „Naj"... Czy pozwolisz wraz z „Izydą", że poznam Was?

„Mała Gwiazdeczka". Czy byłaś może na Balu Maturzystów w Bazarze? Możeśmy nawet tańczyli? Dla pozostałej Braci Krainiackiej, dla której już miejsca Pani Zofia nie mogła mi udzielić najmocniejsze ucałowania i zapewnienia sympatii".

DZIĘKUJĘ ZA POZDROWIENIA

„Człowiekowi Lasu" dziękuję miłe za pozdrowienia przesłane pod adresem Wujka Janusza i moim. Oczywiście, będę o Panu pamiętać, ze swej strony proszę jednakże również o dowody, w postaci listu, że myśli Pan o „Kraince" i tej, która opiekuje się Wami. Przekazuję też w Pana imieniu najserdeczniejsze pozdrowienia całej „Krainće".

PISZ CZĘSTO...

„Wykrzyknik". Wszystko w porządku, Maleńka. W poprzednim numerze dałam pozwolenie na tytuł i dokładne objaśnienie „co i jak"... Teraz już wierz...

Nie gniewam się, że piszesz list na maszynie, to rzeczywiście czyta się wygodniej, chociaż... Ty masz dość wyraźne pismo i z odszyfrowaniem go nie mam kłopotu.

Śliczny przysłałaś opis „Święta Morza", czytałam z prawdziwą przyjemnością. Pisz często, lubię Twoje listy.

Słoneczny uśmiech, jaki mi nadesłałaś, odwzajemniam serdecznym uściskiem dłoni.

DAŁAM ODPOWIEDŹ POCZTĄ

„Wesoła Blondyna". Na list Pani dałam odpowiedź pocztą, jak to Pani sobie życzyła. Poniżej zamieszczam komunikaty:

„Łobuz znad Wisły". A może by Pan skrobnął parę słów do mnie? Odpowiedź murowana. (Pierwsza nie mam odwagi napisać).

„Abnegat". Proszę do mnie napisać, gdyż i ja jestem od niedawna „Krainianką".

„Dżentelmen śląski". Co oznacza to milczenie? Czyż by Pan miał już dosyć?

Kto z „Krainianek" względnie „Krainiaków" zdecyduje się napisać do mnie? Odpowiedź pewna. Adres: M. L. Poste-restante Giszaniec, k. Katowic.

Dla reszty „Krainy" łączę uścisk i miły uśmiech.

POD ZNAKIEM DOŻYNEK

„Smutna i brzydka Irka". List Twój aż kipi od nadmiaru radości. Wesoło tam u Was, że aż mnie ochota bierze skorzystać z zaproszenia i zrobić wypad do alei czereśniowej, tylko, że teraz byłoby już trochę za późno, prawda? Zazdroszczę Ci tych dożynek, które Cię czekają, tego ruchu wśród furkoczących, barwnych wstążek i piosenek śpiewanych tak prawdziwie po „naszemu". Spodziewam się, że i w tym roku czeka Cię podobna zabawa.

Dziękuję za całusy. Pozdrawiam mile „Lan-Cheng życząc Jej wesołych wywczasów.

Całuję mocno i przechodzę do komunikatów:

Z polecenia „Lang-Cheng" przesyłam serdeczne pozdrowienia z polskich gór „Karpat" „specjalne" zaś dla „Armeńczyka", „Białej Różyczki" i „Szukającego". Temu ostatniemu poleciła mi „Lang-Cheng" oznajmić, że w dniu 30. 6. br. około godz. 19.— widziała go w hali dworca głównego w Poznaniu jak studiował rozkład jazdy. Pa!

„Mała Mysia" — niech przyjmie ode mnie serdeczne pozdrowienia.

„Blanka". Przyjm serdeczne całusy.

„Kazimierz Junoszyc". Z wielkim zdziwieniem... pytam co się stało?... Pozdrawiam.

„Zaza". Mocno Cię słodka „Wariatko" całuję.

CZEKAM WYJAŚNIENIA

„Cudzoziemka". Praca jest dla ludzi wszystkim i daje największej moralnego zadowolenia. Wielkim bodźcem do dalszej, żmudnej pracy jest czyjeś uznanie za trudy.. Inspekcja wypadła u Ciebie w biurze dobrze, możesz więc być zadowoloną, że spełniasz doskonale swoje obowiązki.

Co jest powodem, że myślisz niedługo nas opuścić? Czekam wyjaśnienia.

Niestety, nie mogę zamieścić apelu w „Krainie". Radzę umieścić to w formie płatnego ogłoszenia w „Moich Powieściach", wzgl. „Mojej Przyjaciółce" (dwutygodnik kobiecy, wydawany również w naszych Zakładach), a na pewno z ofert, które wpłyną, wybierze Pani odpowiednią osobę.

Przyjm dużo serdeczności.

PRACA WYDAJE SIĘ NAM NOWA

„Puk". Trzymam Cię za słowo i czekam Twego listu co miesiąc. O prenumeratę nie obawiaj się, opłaciłaś już do października br. włącznie.

Wróciłaś oczarowana górami, urokiem górskich poranków, zakochana w szumie spienionych potoków, a jednak z przyjemnością zabrałaś się do pracy, bo zżyłaś się z nią, stała się dla Ciebie bliska i droga. Tak właśnie powinno być. Chwila wytchnienia, zaczerpnięcia oddechu — i praca, nużąca do niedawna, wydaje nam się nowa, pożądana.

Z pogodą radzę sobie podobnie jak Ty, chociaż obecnie nie mogę narzekać — dopisuje w całej pełni. Załączam promienny uśmiech i zamieszczam komunikaty:

„Zuch Dziewczyna". Dziękuję za odpowiedź, ma Pani rację, że zgłoszenie było spóźnione. Szczęście mi sprzyja, mam okazję skończyć kurs szybowcowy bliżej „domu". Za ten wielki błąd przepraszam — naprawdę nie mogłam tego wymienić. Pozdrawiam.

„Chłopczyk". — Znamy się prawda? Pozdrawiam.

ŻYCZĘ PRZYJEMNYCH WAKACYJ

„Przylepka". Życzę przyjemnych wakacyj. Baw się ładnie i napisz obszerny list po powrocie do domu. Komunikaty Twoje:

„Sława". Zaciekawiła mnie Pani. Może blisko siebie pracujemy? Czy zechciałaby Pani nawiązać korespondencję? Odwzajemniam pozdrowienia.

„Przybłęda Leśny". Czy ładnie jest teraz w Nakle nad Notecią. Jak Pan myśli, Panie Cześku, czy nie byłoby „byczo", gdybyśmy tak nagle w trójkę zaśpiewali „Rosła kalina z liściem szerokim" w borach nadnoteckich?

Halo, „Pell". Słyszałam, że Pan jesteś wysokiego wzrostu, to dobrze, bo ja się martwiłam, że nie znajdę pary dla swoich 152 cm.

„Kazimierz Junoszyc". Dlaczego Pan, Panie Zbyszku, tak mało pisze. Czyżby stolica tak „bez reszty" zajmowała Panu czas?

„Karykaturzysto". Ciekawam, w jakie bory Pana los zagonił? Czy przypadkiem nie w poleskie?

Panie Adku Czekalski. Pozdrawia Pana współuczestniczka „biesiady" z 1937 r. „Było to w święta Bożego Narodzenia. Czy pamięta Pan „pochód" podczas mrozu i zasp iście syberyjskich w stronę pewnej wioski S...a?

Całą „Krainę" pozdrawiam serdecznie.

CZEKAM...

„Rabuś". Takiego „Rabusia" miłego, jak Ty, Dziewczynko, przyjmę z otwartymi ramionami. Czy tylko dotrzymasz obietnicy? Czekam!

Twoje komunikaty:

„Luteńko" — bądź cierpliwa. List nadejdzie wkrótce.

„Leśny Człowieku"! Jak się czujesz w Krainie kochany braciszku?

„Amerykanin" Panie Heńku, co to? Nic nie rozumiem i czekam wyjaśnienia.

„Kazimierzu Janoszycu" więc poświęci mi Pan wierszyk? Nie potrzebuje on być smutny, gdyż w ostatnim czasie zaszły we mnie zmiany. Gdyby Pan był moim braciszkiem to... — ale o tym później. Może Pan napisze do mnie?

„Pellu"! Czy zapomniałaś o siostrzyczce z Bydgoszczy?

„Obserwator I" Co oznacza milczenie Pana? Na list dałam odpowiedź, czy ją Pan odebrał?

„Przybłęda Leśny" Odezwij się, proszę, pierwszy. Odpowiedź betonowa.

„Bursztynowe serduszko" A właśnie, że pójdę z Tobą razem do klasztoru. Może skrobniesz do mnie Kochana Dziewczynko? Na razie ucałowanie buzi.

„Blanko" wkrótce list, pod Pani adres bezpośrednio. Aha! „Rabuś" odnalazł Panią, teraz chce się wkraść do Jej serduszka.

Pozdrowienie i ucałowanie dla „Przedwiośnie"; „Zuch Dziewczyny", „Marzących oczu"; „Smutnej dziewczynki z nad Gopła"; „Aneczki"; „Romeczki ze Lwowa" i wszystkich „Krainianek.

Braterski uścisk dłoni dla „Pieśniarza", „Abnegała"; „Długasa"; „Altmisty"; „Gladiatora"; p. Grzegorskiego, „Armeńczyka", „Zbijobruka" i „Serca śląskiego".

POZDROWIENIA Z POZNANIA

„Aloha". List Twój, chociaż trochę przydługi, przeczytałam z dużym zainteresowaniem, piszesz bowiem żywo, no i przygoda Twoja z burzą, opisana ciekawie i barwnie, pochłonęła całkowicie moją uwagę. Nie zazdroszczę Ci tych wrażeń, przyznaj jednak sama, że i tego rodzaju przygody są dla nas nie tylko nowym doświadczeniem, ale i nauczką, prawda? Przypuszczam, że mimo wszystko zapomnisz o tym szybko i znów zwykłą życia koleją zapragniesz i kina i lodów i towarzystwa koleżanek. Całuję Cię mocno.

A teraz Twoje komunikaty:

Halo, P. Wanda Malinowska — Żnin! Pozdrowienia i uściski zasyła Zochna B. Poznań.

„Blance" — ślę słowa szczerego uznania. Pozdrawiam wszystkie i wszystkich z „Rodzinki" i może ktoś z Poznania skrobnie do mnie. Czekam.

NIKOGO NIE WYRÓŻNIAM

„Złotowłosa". Milutki jest Twój liścik i pełen kochanych słów. Tak bardzo chciałabyś, ażebym Cię polubiła. Czy masz wątpliwości, że tak nie jest. Droga Moja, przecież ja nikogo nie wyróżniam i wszyscy jesteście mi równo drodzy. Nie dopuszczaj do siebie podobnych myśli.

Wychowuj przez wakacje „swoje" maleństwa, a świadomość dobrego uczynku będzie najlepszym wynagrodzeniem za poniesiony trud, prawda?

Przesyłam Tobie dużo, bardzo dużo serdecznych pozdrowień i życzę powodzenia w życiu.

„Dusza w kajdanach". Pokochałam Panią. Oby naprawdę znalazła Pani szczęście pod pseudonimem. Mocno całuję!

„Karykaturzysta". Serdecznie pozdrawiam i czekam na długi list. Adres u P. Zochny.

Dla „Rodzinki" serdeczności.

ZDJĘCIE ZAMIEŚCIŁAM

„Jestem zagadką". Zdjęcie Twoje zamieściłam. Odwzajemniam mocny uścisk dłoni.

„Jestem zagadką" przesyła dla całej „Krainy" moc pozdrowień.

„Tyranie" — czy pamiętasz, kogo poznałeś 15 paźdz. 38 r.? Ten ktoś przesyła pozdrowienia.

„Marzące oczy" — proszę o liścik.

ZJAWI SIĘ MIŁA DZIEWCZYNKA...

„Łobuz z nad Wisły". Przykro mi bardzo, że nasze panie Krainianki zachowały się niewłaściwie, lekceważąc Pana listy. Proszę się jednak tym nie przejmować i wierzyć, że znajdzie się jeszcze miła, dobra dziewczynka, która nie będzie oceniać ludzi według ich stanowiska i zasobów finansowych, jakie posiadają, ale uzna Pana wartość moralną i intelektualną. Owe niewymienione panie, postępując w taki sposób, dały tylko dowód małości swego charakteru i pustoty umysłowej — i naprawdę nie warto tej znajomości żałować. Zatem miły „Łobuzie z nad Wisły" uzbrój się w pewną dozę cierpliwości i czekaj! Istnieją jeszcze dobre duchy — one o Panu nie zapomną... Zjawią się w swoim czasie...

Komunikaty:

„Łobuz w spódnicy" Bardzo dziękuję, zostałem mocno tym dotknięty. Całuję rączki za szczerość.

„Panienka z okienka" i „Zefir Zachodu" Najserdeczniejsze życzenia z okazji ślubu.

„Skowronek" Zgadła Pani, lecz kto zdradził mnie? Pozdrawiam!

„Halina Ślązaczka" Bardzo dziękuję i wzajemnie pozdrawiam.

„Słodka Gizelu"; „Chochlik"; „Uluta" — przyjmijcie pozdrowienia od pocztowca. Cześć!

„Samotna Dusza" „Biała Uayali"; „Wykrzyknik"; „Lillavati"; „Nieszczęśliwa Niniusia"; „Bez pseudo"; „Jagienka"; „Twoja Szarotka" Serdeczne pozdrowienie i słowa: „Pamiętaj o mnie"!

Dla całej Krainy serdeczności przesyła zawsze szczery i smutny „Łobuz z nad Wisły".

TECZKA wuja Janusza

PIWNE OCZY

„Krainiakom" o piwnych oczach — dedykuję.

Trochę to śmieszne, a trochę dziwne,
Czemu ja kocham twe oczy piwne?
Tyle jest innych ocząt, a przecie —
Te mi najdroższe na całym świecie!

Trzeba się chyba zapytać księdza,
Czemu twe imię sen z powiek spędza?
Czy to jest bardzo ogromnym grzechem
Żyć twym wspomnieniem i twym uśmiechem?

Ksiądz starowina pewnie odpowie:
„Ejże duszyczko! — masz fiołki w głowie!
Trzeba na zawsze tę myśl porzucić
i piwnych oczu nie bałamucić"...

Wtedy wyrzeknę: „Fratrze" łaskawy!
Nie mogę wcale przyrzec poprawy!
Może to śmieszne — Może to dziwne —
Lecz kocham bardzo — oczęta piwne!

St. Roslewska.

„Irusia z Wołynia". Bynajmniej nie gniewam się, na przyjazd do Żnina czekam niecierpliwie. Czy wierzy mi Pani, że właśnie dlatego tak zwlekałem z odpowiedzią? Wiersza „Kwiaty" nie zdążyłem zamieścić. Pozostałe wiersze zatrzymuję w teczce, jeden drukuję w dzisiejszym numerze. Jedna tylko rada na przyszłość: więcej dbałości o rym, bo... Na razie wiersze są poprawne i bardzo, bardzo miłe. Łączę ciepły uścisk dłoni.

TOBIE OJCZYZNO!

O! Gdybym mogła mieć orle szpony
I pierś ze stali najtwardszej w świecie!
Zgniotłabym zmorę, co kraj nasz gniecie,
— By pieśń zwycięską zagrały dzwony...

Gdyby torpedą stać się szaloną
Zniszczyć, zniweczyć wrogów zamiary,
Nie bać się śmierci ni żadnej bary,
Stać się atamem — zgnębić miliony...

O! Gdyby Chrystus chodził po ziemi
I cuda czynił tak jak przed laty,
Zmieniłby może świat w cudne kwiaty
I sam hodował je dłońmi swemi...

Znikłyby może obozy, kasty,
Zostałby jeden pasterz wśród stada...
— — — — — — —
O! gdyby wielka, ludzka gromada?...
— — Ale są przecież ciernie i chwasty...

Irena Maria Wójcikowska.

WARTO

„Twoja Szarotka". Wiersze, które Pani nadesłała, mają nierówne zalety. „Zapomnij" — treść banalna, lecz forma dość poprawna, natomiast „Łzy" miałbym ochotę odłożyć do teczki, niestety przeszkadza temu brak rytmu. Zamieszczam dzisiaj „Zapomnij" ze względu na wymienioną już wyżej poprawność formy. Może zada sobie Pani trud przerobienia drugiego wierszyka, bo — sądzę — warto!

ZAPOMNIJ

Gdy się na zawsze z Tobą rozłączę,
I gdy wspomnieniem będziemy żyć,
Zapomnij nasze uczucia gorące
Zapomnij wspólną marzeń nić.

Zapomnij moją ku Tobie miłość,
Którą Ty pierwszy we mnie wskrzesiłeś.
Zapomnij serce, co dla Cię biło,
Zapomnij chwile, co nas łączyły.

A gdy Ci za mną serce zabije
I kiedy wspomnisz rozstania chwilę
To powiedz sobie, że to co się stało...
To przeznaczenie.
Tak się stać musiało...

„Twoja Szarotka".

WIERSZE ZAMIESZCZAM

„Dyktator". Ściskam szlachetną dłoń Pana i zamieszczam wiersz bez komentarzy:

ŻYWA TORPEDA

Jak błyskawica mknie żywa torpeda
Po gładkiej jak lustro morza powierzchni,
Cicho szeleści pod nią srebrna woda,
Wiatr sternikowi gra żałosne pieśni.

A sternik jakby z marmuru wykuty
Na dnie torpedy ze spokojem leży
Sobie i wrogom gotuje los smutny
Za chwilę w okręt torpeda uderzy.
— — — — — — —
Piekielny huk! Okręt rozbity tonie,
Nie uratuje się już nikt z załogi.
W otchłani morskiej tysiąc ludzi ginie
Wchłonął ich wszystkich bóg Posejdon srogi
— — — — — — —
A sprawca ich zguby — rozwiał się jak dym.

DZIĘKUJĘ PANI

„Maleńka Hali". Dziękuję Pani za tyle, tyle serdecznych słów. „Toto pisemko" przeczytałem z dużą satysfakcją. Cieszy mnie to, że nie tylko „poeci krainiacy" darzą mnie sympatią, ale i miłe osóbki z poza ich grona. Nie, wojskowego drylu wobec Krainianek nie miałbym odwagi zastosować, choć podobnie jak Pani dumny jestem z wojska polskiego. Jeszcze raz dziękuję za oba listy, za dobre chęci. Pozdrawiam Panią mile i ściskam dłonie.

LETNIE POŁUDNIE

Słońce dosięgło już niebios zenitu —
Jak płynne złoto po świecie rozlewa
Żar swych promieni, co z niebios błękitu —
Płyną na wioski i lasy i drzewa.
W gorących słońca letniego promieniach
Spoczywa ziemia, jak w złotych płomieniach.

Ogniste w słońcu rumienią się maki,
Południowego słońca ozłocone żarem,
Na tle zieleni, jakby krwawe znaki,
Krajobraz dziwnym napełniają czarem.
Ziemia w słoneczku, jakby ogniem dyszy —
Nic nie przerywa południowej ciszy —

W powietrzu tylko złote muszki brzęczą —
Migocą w słońcu, jak drogie klejnoty
Barwne skrzydełka malowane tęczą.
Dzięki Ci, Boże, za ten dzionek złoty,
Za to południe, za słońce i kwiaty
I tych motyli złotych rój skrzydlaty.

NIE ZAMIESZCZĘ

„Samarytanka". Czy dużo Pani pracowała nad tworzeniem wierszy? Jeżeli krótko, to warto jeszcze przypiąć fałd, bo niektóre próby już są dość udatne n. p. „Ptaszyna" i „Może mi wy powiecie". Na razie nie daję ich jeszcze do druku. A zatem do pracy!

Wiersz przesłany Pani Zofii jest słaby, nie mogę go umieścić w „Krainie".

GŁOS DUSZY

P. M. Grzegorskiemu w dowód sympatii — dedykuję.

Nie ten jest dobrym Ojczyzny synem,
Co krzyczy: kocham cię matko droga;
Lecz ten, co miłość swą znacząc czynem,
Idzie, gdy trzeba, mężnie bić wroga!

Nie ten jest godny zaszczytów, chwały,
Co na przewodnim miejscu zasiada;
Lecz ten, co we krwi zbroczony cały,
Na polu bitwy ofiarnie pada!

Nie tego pamięć w sercach trwać będzie,
Co wzniósł dla siebie pomnik wspaniały,
Lecz tych, co w mogił zapadłych rzędzie
Śpią — śniąc o Polsce — złote sny chwały!

Eugeniusz Halman

ZEW

Hej! gdyby orłem być śnieżnopiórym
I poszybować hen, w dal z wiatrami!
Usłać swe gniazdo gdzieś nad kurchanami
I lot swój wznieść ponad szczyty gór!
W błękitach ku słońcu, w gwiazd srebrnym [szlaku
Odnaleźć szczęścia swego mistyczny znak,
Lecz opaliły się skrzydła mych snów [i marzeń...
— Jestem jak zraniony i zbłąkany ptak.

„Biała Uajali".

XX.

W EXPRESIE QUEENSTOWN - DUBLIN

Godziny upływały za godzinami i zwolna dzień zbliżał się ku schyłkowi.

Pociąg, niby mityczny gryf, pędził poprzez Irlandię, ziona̧c kłębami gorącego dymu i snopami iskier.

Mr. Thompson dłuższy czas rozmawiał z Daisy, później czytał jakiś dziennik kupiony na którejś ze stacji, potem znów rozmawiał, przyglądał się przemykającym przed oknami krajobrazom, wreszcie przymknął oczy i zapadł w lekką drzemkę, do której usposabiał monotonny stukot kół po szynach.

Obudziło go dojmujące, choć niejasne poczucie niebezpieczeństwa.

Wyprostował się na siedzeniu. Nosek stał przy drzwiach, głucho warcząc; sierść miał zjeżoną na grzbiecie i trząsł się na całym ciele: najwidoczniej był przerażony, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko.

Mr. Thompson, zaintrygowany zachowaniem wiernego psa, wyjął browning i sięgnął ręką do klamki, aby otworzyć drzwi, lecz Daisy, wtulona trwożnie w kąt przedziału, pochwyciła jego dłoń.

— Niech pan nie odchodzi, proszę, — szepnęła błagalnie — lękam się...

W tej chwili posłyszał inspektor żałosny jęk Romney'a, przeraźliwy krzyk Ellen i ryk goryla. Brzmiało to tak niesamowicie, że twarz starego detektywa pokryła się bladlością. Odsunął drzwi i wypadł na korytarz, a stamtąd do sąsiedniego przedziału.

Na podłodze leżał Romney, wijący się w straszliwych bólach. Pochylony nad nim O'Sullivan odwrócił twarz. Była szara ze zgrozy. Ellen wdrapała się na półkę i stamtąd patrzyła z przerażeniem na Lo-Wo, który wśród wściekłych ryków, darł na strzępy coś, co przypominało kształtem okrwawiony i odarty ze skóry woli ogon.

— Cobra, jadowity cobra ukąsił Romney'a — wyrzekł bezdźwięcznie olbrzym. Nie ma już dla niego ratunku, mr. Thompson, daremnie, już koniec...

Twarz młodzieńca zczerniała; z ust jego sączyła się piana, a drgawki, wstrząsające jego ciałem, stawały się coraz słabsze. Potoczył dokoła nieprzytomnym wzrokiem i ucichł na zawsze.

W tym samym momencie goryl, od pewnego czasu wpatrujący się w róg korytarza, dał olbrzymiego susa, zwalając z nóg mr. Thompson'a i pochwyciwszy coś w kosmate łapy, począł rwać w kawałki.

— Lo-Wo schwytał drugiego cobrę — rzekł O'Sullivan, ocierając pot z czoła. — Kto wie, czy nie ma ich tu więcej!...

Inspektor nie odpowiedział. Pobiegł jak szalony do sąsiedniego przedziału, uniósł jak piórko drżącą Daisy i posadził ją na półce.

— Właź na drugą! — rzucił Sylwestrowi. — Jadowite węże w przedziałach!

Przeszukali wspólnie z O'Sullivan'em i gorylem wszystkie kąty, lecz nie znaleźli już jadowitych gadów.

Mr. Thompson, uspokojony nieco, pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Expres zatrzymał się, zionąc kłębami przegrzanej pary.



Rolf Harbig — Niemcy, pobił rekord świata przebiegając 800 m. w czasie 1 min. 49,4 sek.

Po chwili do przedziału wpadła służba kolejowa i kilku pasażerów. Gdy dowiedzieli się o zamachu, zapanowało wśród nich wzburzenie. Znalazł się natychmiast inspektor lokalnej policji kryminalnej, który wszczął śledztwo, mimo jednak najstaranniejszych poszukiwań, nie tylko nie zdołano wykryć sprawców, ale nie udało się nawet natrafić na najmniejszy ślad.

— To sprawka Li-Hu-Liana — orzekł w końcu policjant — ale dlaczego właśnie na panów zagiął parol — nie rozumiem, dalibóg...

Mr. Thompson wyjaśnił mu sytuację o tyle, o ile uważał to za potrzebne.

— Goddam! — wykrzyknął Irlandczyk. — No, strzeżcie się, panie kolego... O Mąsske'u słyszałem, to dobra, ba — bardzo dobra sztuka, ale jeśli nadto zawarł pakt z Li-Hu-Lianem, nie chciałbym znaleźć się w pańskiej skórze, daję słowo... Dostarczę panu jego rysopis — ciągnął dalej. — Hundred devills! To bydlę, jak rzadko! Ile ta kanalia zalała mi już sadła za skórę, niktby nie uwierzył. A z Dublina panowie jak? — cicho zapytał. — Aa, samolotem, dobrze ,bardzo dobrze ,dodam panu koledze eskadrę aż na lotnisko, tak będzie pewniej. By gosh! Ja, już mam za swoje, dalibóg!

Inspektor lokalny przemawiałby zapewne dłużej, lecz drzwi na korytarz uchyliły się nagle, ukazując w szparze głowę starego Chińczyka z twarzą pomarszczoną jak pieczone jabłko.

Irlandczyk skoczył na równe nogi.

— To on, to Li-Hu-Lian! — wrzasnął, rzucając się w pogoń za żółtolicym synem Azji.

Chińczyk jednak, jakkolwiek znacznie starszy, chudy i zwinny, zbiegł tedy z łatwością. Dopadłszy do końca wagonu, błyskawicznie otwarł drzwi, wysunął się nazewnątrz, wdrapał po żelaznej drabince na dach i — zniknął.

Inspektor lokalnej policji, któremu tusza nie pozwalała na karkołomną gonitwę po dachach, stanął w otwartych drzwiach i kląc, pienił się ze złości.

Mr. Thompson w pierwszym odruchu zapragnął ścigać zbrodniarza, szybko jednak odstąpił od zamiaru. Gdy on znajdowałby się na dachu, inni złoczyńcy mogliby dokonać nowego zamachu na spadkobierców. Wrócił tedy do przedziału. Za Sylwestra stojącego nad nią bezradnie.

Z trudem uspokoił dziewczynę. Namówił ją na lampkę koniaku, otulił pledem i ułożył do snu. W sąsiednim przedziale, skąd na polecenie grubego policjanta usunięto już trupa nieszczęsnego Romney'a, O'Sulliv gorąco dyskutował z Ellen. Świadczyły o tym ich żywe gesty. Niewątpliwie tematem dysputy był spadek po Stanford'zie...

Inspektor zamierzał wmieszać się, lecz po namyśle machnął ręką i wrócił na swoje miejsce. Aż do Dublina nie opuszczał już przedziału, zająwszy taką pozycję, aby móc widzieć cały korytarz. Dalsza droga minęła jednak spokojnie.

W stolicy Irlandii, spadkobiercy milionów Stanford'a odwiezieni zostali na lotnisko samochodem policyjnym, za którym pędził motocykl z przyczepką i dwoma konstablami z karabinami gotowymi do strzału. Eskorta towarzyszyła im aż do chwili, gdy wielki samolot pasażerski wzniósł się w powietrze, lecąc w kierunku Galway.

Nikt jednak nie wiedział, że w kwadrans później z pól podmiejskich wystartował mały, dwuosobowy aeroplan, szybujący całą siłą motoru w ślad za pasażerskim olbrzymem...

Gdyby mr. Thompson przeczuwał, kto znajduje się w owym aparacie, na pewno mniej beztrosko oddawałby się dolce far niente w luksusowej kabinie stalowego ptaka...

XXI.

SIEĆ SIĘ ZACIEŚNIA...

„London" szybował na wysokości około 300 yardów nad ziemią. Mr. Thompson dziwił się temu, nie zadawał jednak pytań, przypisując to względom atmosferycznym.

Podróż ta wywarła wielkie wrażenie na O'Sullivan'ie. Olbrzym z dziecinną ciekawością oglądał przemykające pod nimi ciemne punkty domów, zielono-szare płachty ogrodów, pól i łąk, i srebrną wstęgę rzeczki, od czasu do czasu wyłaniającą się na linii lotu.

Inspektor również czas jakiś obserwował krajobraz, zmieniający się jak w kalejdoskopie, wkrótce jednak zajął się nierównie więcej interesującą go obserwacją.

W samolocie znajdowało się poza nimi pięcioro pasażerów. Na uboczu siedział starszy już jegomość, czytający „Daily Express". Mr. Thompson bez trudu doszedł do przekonania, że jest to jakiś emerytowany pułkownik. Naprzeciw niego, w drugim końcu kabiny, zajęła miejsce dość jeszcze młoda, wyzywająco ubrana kobieta, w której od razu można było poznać tancerkę kabaretową. Nie było w tej parze nic ciekawego, uwaga tedy inspektora skoncentrowała się na trójce milczących pasażerów, siedzących opodal.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

17)

Wariatka

Bez zainteresowania położyła list na stoliku i chwilę stała bezradnie na środku pokoju. Raptem odetchnęła ciężko. W mieszkaniu wydało jej się duszno. Podeszła do okna i otworzyła je. Wiatr gwałtowny, zimny i pełen deszczowych kropli uderzył ją po twarzy. Nie cofnęła się. Było w tym coś przyjemnego. Po kilku chwilach odczuła chłód na całym ciele. Wstrząsnął nią. Prędko zamknęła okno. I raptem przypomniała sobie list. Tak jak przed tym obojętnie rzuciła go na stół, tak teraz gwałtownie sięgnęła poń i pospiesznie rozerwała kopertę.

Wielce Szanowna Pani Hrabino

Uprzejmie proszę niniejszym o łaskawe pofatygowanie się do mojej kancelarii w celu załatwienia formalności w związku ze spadkiem po śp. Krystynie hr. Rolskiej, która w testamencie przepisała na Panią, jako na swoją synową, połowę majątku.

Z głębokim poważaniem

Bogański — rejent".

Iga przetarła oczy.

Raz jeszcze przeczytała krótki list.

— To chyba jakieś nieporozumienie... — pomyślała. — To coś nieprawdopodobnego.. Skąd matka Stefana dowiedzieć się mogła o jego małżeństwie... Ksawery? Nie. To nie byłoby w jego interesie...

Wzięła do ręki kopertę. Teraz dopiero przeczytała adres: J. Wielmożna Pani Jadwiga Pohoredzka Hr. Rolska.

— Więc to naprawdę do mnie...

Była zupełnie oszołomiona. Nie wiedziała co sądzić o tem wszystkim. Najfantastyczniejsze rozwiązania tej zagadki przychodziły do jej głowy. Cały wieczór upłynął jej na rozmyślaniach na ten temat. Gdy położyła się długo leżała z otwartymi oczami, a mózg jej pracował bez przerwy. A kiedy wreszcie sen ją zmorzył, śnił się jej Stefan w jakichś dziwacznych nierzeczywistych sytuacjach, śniła jej się matka jego, którą znała tylko z fotografii, potem znowu Stefan o twarzy Romana i rejent Bogański, który wyglądał jak Ksawery. Nad samym ranem widziała jak wielka złota obrączka zacieśniała się na jej szyi; wiedziała, że zacieśniać się będzie tak długo, póki nie dojdzie do rozmiarów obrączki widzianej na palcu Romana. Czuła coraz silniej ucisk na szyi, czuła, że zaczyna się dusić, potworny ból rozrywał jej serce, niewypowiedziany strach mącił myśli do obłędu. A obrączka wciąż się zmniejszała... zmniejszała.... zmniejszała...

Własny przeraźliwy zdławiony krzyk obudził ją i zerwał z posłania.

Drżała na całym ciele, zęby dzwoniły kroplisty pot spływał z czoła.

Długo nie mogła się uspokoić. Nie wróciła do łóżka. Bała się.

Stopniowo uprzytomniła sobie wszystko co zaszło dnia poprzedniego.

I list rejenta.

Zrobiła sobie kąpiel, potem zimny prysznic. Woda wróciła jej możność panowania nad nerwami.

W południe zwolniła się z banku na godzinę i udała się do rejenta.

— Niezmiernie się cieszę — rzekł do niej po przywitaniu się — że mogłem pani tak pomyślną wiadomość zakomunikować. Że to nie jest frazesem, przekona się pani po przejrzeniu niektórych papierów pozostawionych przez zmarłą. Przede wszystkim muszę pokazać pani list męża pani ś.p. Stefana hr. Rolskiego pisany do matki. Oto on:

„Najdroższa moja Mamo —

Jestem lotnikiem. Wiesz równie dobrze ja, co to znaczy. Każdej chwili mogę zginąć. Piszę ten list właśnie na wypadek ewentualnego nieszczęścia.

Mam tajemnicę w swem życiu, której nie chcę i nie mam prawa zabierać ze sobą do grobu.

Jestem żonaty, Mamo.

Pamiętasz nasze rozmowy na temat ewentualnego mego małżeństwa? Pamiętasz Twoje argumenty? Było tyle rozpaczy w Twych kochanych oczach na samą myśl „stracenia" mego serca, co według Ciebie, musiałoby niezawodnie nastąpić w razie mego małżeństwa — że nie byłem w stanie zadać Ci takiego ciosu.

A jednocześnie kochałem bez pamięci moją narzeczoną. Kochałem równie mocno jak Ciebie — tylko inaczej.



Angielskie kobiece oddziały obrony przeciwlotniczej otrzymały nowe mundury

Chciałaś — nie wiedząc jak dalece sprawa była aktualna — abym się ożenił po Twojej śmierci.

Mamo droga! Jakże to chciałaś, aby początkiem mego szczęścia była Twoja śmierć — moje nieszczęście?!

Ożeniłem się w tajemnicy przed Tobą, w tajemnicy przed całym światem.

Ukrywanie tego przed Tobą było dla mnie bolesnym ciężarem. Ale ile razy decydowałem się na to, aby Ci wszystko wyznać — przypominał mi się wyraz Twych oczu — i nie miałem serca tego zrobić.

W chwili, gdy list ten piszę, już rok minął od mego ślubu.

Żona moja mieszka sama, ja — z Tobą.

Widzisz teraz, jak niedorzeczny był Twój lęk, że stracisz moje serce. Czyż przez ten rok brak serca z mojej strony odczułaś? czy kocham Cię mniej niż przedtem?

Nie. Prawda, że nie?

A przecie żonę moją kocham równie mocno, jak Ciebie.

Zasługuje ona na to pod każdym względem. I daje mi szczęście bezmierne.

A wiem, że nie lubiałabyś jej za to, że — w Twem przeświadczeniu — zabrała mnie Tobie. Byłoby to dla niej wielką, niezasłużoną krzywdą.

I tego też nie chciałem.

Wybacz mi, Mamo, tę jedyną tajemnicę przed Tobą. Skłoniła mnie do niej tylko wielka do Ciebie miłość.

Jeśli mi, Mamo, wybaczysz, zrób o co Cię proszę:

Nie chcę, aby w razie mojej śmierci, żona moja musiała borykać się z życiem, jak to było jej udziałem do czasu naszego ślubu. Chcę, aby się wszyscy dowiedzieli, że była moją żoną, bo przecie tyle o nas ludzie szeptali plotek i domyślników, że aż dziw, iż nie doszły one Twych uszu! Nie chcę, aby pozostała w niewyraźnej sytuacji. Wiem, jestem pewien, że ona sama nie zdradzi naszej tajemnicy — więc Ty, Mamo, musisz ją obronić przed światem.

A dalej Mamo droga, jest moją ostatnią wolą, aby wszystko co ma być moją częścią naszego majątku przeszło niepodzielnie na nią. Wszystko cokolwiek miałoby do mnie należeć.

Moja żona nazywa się Jadwiga z domu Pohoredzka. Ślub braliśmy w kościele św. Aleksandra. Mieszka na ul. Czackiego 15.



Policjanci londyńscy są nielada mistrzami w jeździe konnej

Kochaj ją, Mamo, i bądź dla niej matką. Jeśli list ten czytać kiedyś będziesz, to znaczy, że ja zginę — a wtedy ona będzie bardzo nieszczęśliwa i będzie potrzebowała Twego kochającego serca.

Błagam Cię o to wszystko w obliczu zawsze możliwej dla mnie niespodziewanej śmierci i mam w sercu wielki spokój, płynący z zaufania do Ciebie: wiem, że wszystko spełnisz tak, jak Cię o to proszę.

Mamo droga, kocham Cię bardzo —
Twój syn Stefan.

Iga przez dłuższą chwilę tak miała wzruszeniem zdławione gardło, że nie mogła mówić. Wreszcie, gdy się opanowała, zapytała:

„Nie rozumiem, proszę pana, jak było z tym listem... Więc matka mego męża wiedziała już od dawna o tem, że był ze mną ożeniony... i nigdy się do mnie nie odezwała... Nie mogła mu widocznie tego małżeństwa przebaczyć...

— Myli się pani. Wszystko złożyło się zupełnie inaczej. Nie wiem, czy pani wiadomo, jaką przyjaźnią i zaufaniem darzyła mnie zmarła. Znałem wszystkie jej sprawy i nie tylko te, tyczące się interesów. O małżeństwie hr. Stefana nie wiedziała nic. Spisała przy mnie testament na rzecz hr. Ksawerego, uważając go za jedynego spadkobiercę. Otóż na krótko przed jej śmiercią zostałem pewnego dnia wezwany przez nią, tak jak zresztą bardzo często miała zwyczaj mnie wzywać. Gdy przybyłem zastałem ją w stanie silnego wzruszenia. Pokazała mi ten list. Dopiero wtedy go dostała. List ten w zalakowanej kopercie z napisem: „Otworzyć w razie mojej śmierci — Stefan Rolski" i pozostawiony u jego przyjaciela kapitana Zaharskiego, który w dniu katastrofy był w Poznaniu, gdzie tego samego dnia skakał ze spadochronem. Skok ten miał jakiś niefortunny przebieg, na skutek czego kpt. Zaharski uległ wstrząsowi mózgu i stracił kompletnie pamięć. Leczył się długo i dopiero przed rokiem zaczęła mu pamięć wracać, a w ślad za tym zaczął interesować się życiem. Wtedy dopiero, dowiedziawszy się o śmierci swego przyjaciela majora Rolskiego, przypomniał sobie o pozostawionym u niego depozycie. Znalazł go i natychmiast list odesłał pod wskazanym adresem. Na szczęście matka majora Rolskiego jeszcze wtedy żyła. List ten — sam to widziałem — zrobił na niej niesłychanie silne wrażenie. Natychmiast zażądała ode mnie spisania nowego testamentu, zapisując pani połowę całego majątku, wszystką swoją biżuterię oraz wielki swój portret, specjalnie ukochany przez hr. Stefana. Zastrzegła otwarcie testamentu w rocznicę śmierci syna. Zastrzegła w nim także, że w razie gdyby po jej śmierci pani samorzutnie, nie szanując tajemnicy swego męża, zaczęła dochodzić praw majątkowych — wtedy cały majątek przejść by miał na drugiego syna, Ksawerego. Datę otwarcia testamentu w rocznicę śmierci hr. Stefana tłomaczyła tem, że w ten sposób pani będzie miała złudzenie, że to bezpośrednio od niego testament pochodzi. Gdyśmy te formalności załatwiali zaczęła mówić o pani i w tej samej chwili przyszedł atak zupełnego paraliżu i w krótce potem umarła, nie odzyskawszy wcale ani władzy w członkach, ani mowy.

Iga słuchała słów rejenta w głębokim wzruszeniu.

— Tak, teraz wszystko rozumiem — rzekła cicho, gdy skończył. — Żałuję bardzo, że nie znałam tej staruszki...

Testament hr. Krystyny Rolskiej był niebywałą sensacją w tak zwanem „towarzystwie". We wszystkich salonach nie mówiło się o niczem innym. Tajemnicze małżeństwo zmarłego tragiczną śmiercią Stefana Rolskiego było źródłem nieskończonych komentarzy. Iga, otoczona nimbym romantycznej tajemnicy, stała się bohaterką dnia, tym bardziej interesującą, że nikt jej nie znał. Panie posiadające „salony" żyły w gorączce podniecenia: każda drżała, że przyjaciółka ubiegnie ją i pierwsza będzie gościć u siebie Igę na jakimś wspaniałym, w tym celu wydanym five'ie.

W rezultacie Iga zmuszona była (ach, jakże jej to nie odpowiadało, zwłaszcza w tej chwili!...) przyjąć szereg wizyt rodziny Rolskich i ich przyjaciół i w ślad za tym otrzymać mnóstwo zaproszeń.

Jedną z pierwszych była u niej pani Dobrzaniecka, która odrazu przypomniała sobie „że zna doskonale panią Stefanową" i pragnęła jak najprędzej skaptować ją do T-wa św. Amedeusza.

Iga przyjęła ją bardzo uprzejmie, ale na razie nie przyobiecała swego członkostwa w dobroczynności.

Drżała na myśl, że i pani Romanowa Rolska przyjdzie ją „obejrzeć". Wszak była dla niej stryjeczną bratową.

Po trzech dniach miała dosyć zamieszania towarzyskiego i była tak zmęczona, że postanowiła choć na krótko uciec z Warszawy.

Właśnie siedziała wieczorem przy biurku i rozpisywała bilety z tą wiadomością do wszystkich, którzy ją wizytowali, gdy usłyszała charakterystyczny dzwonek Romana.

Pobiegła mu otworzyć.

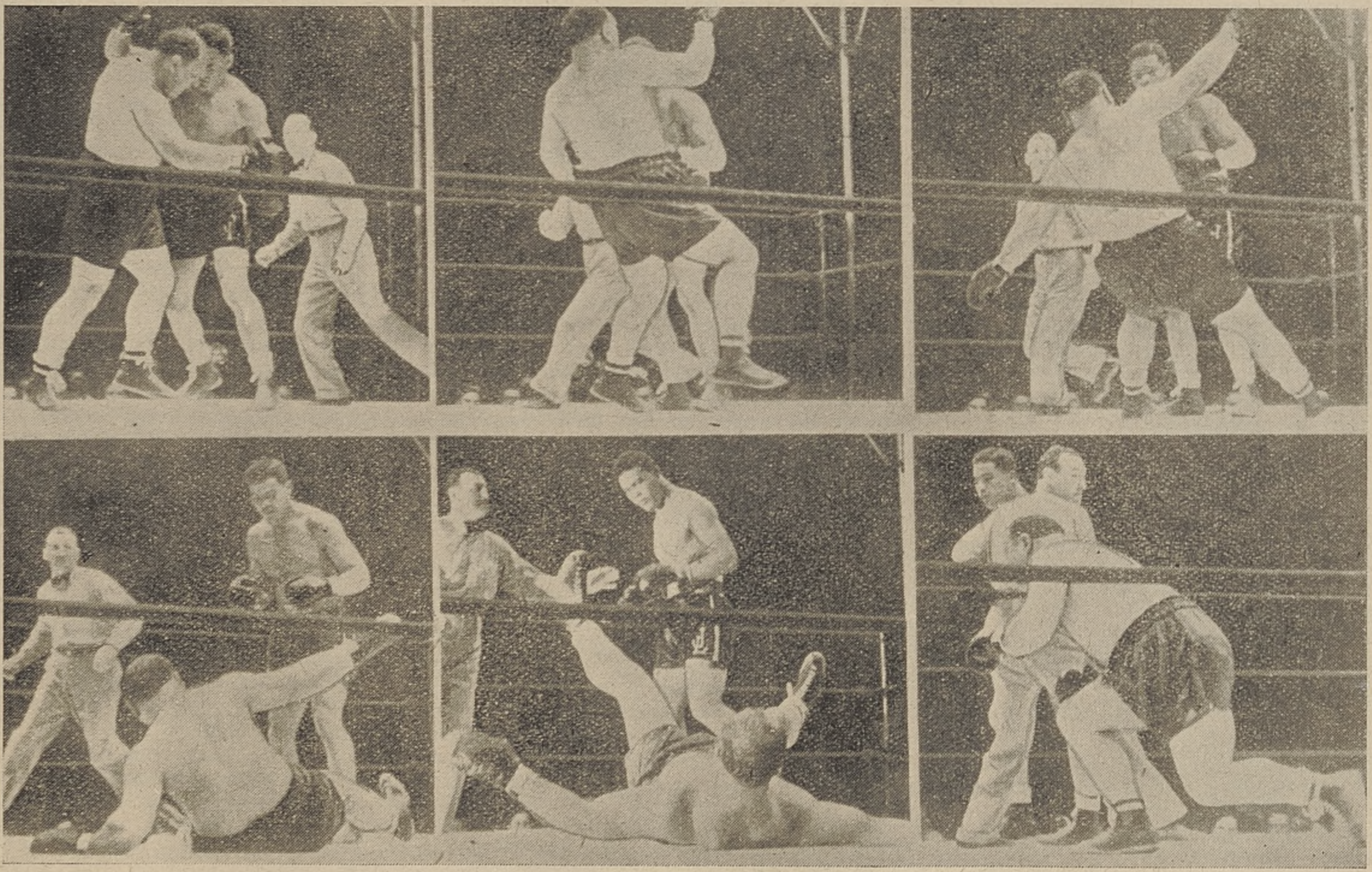
— Iga! Jakże się cieszę z tego wszystkiego! — zawołał entuzjastycznie, witając się z nią serdecznie. Ale jak potrafiłaś tak nigdy nie zdradzić się z tym, że jesteś moją bratową! Wiedziałem doskonale, że jest w twoim życiu jakaś tajemnica, ale nigdy nie wpadłbym na pomysł, że taka właśnie jest twoja historia. Ale cieszę się, cieszę się niezmiernie dla ciebie z takiego obrotu sprawy.

Nie odpowiadała nic. Przyjrzał się jej uważnie.

— Dziwna ty jesteś istota! — zaczął znowu. — Nie widać zupełnie, abyś się cieszyła!

Iga poprostu na widok Romana zapomniała o spadku!

— Owszem. Cieszę się. Wszak moja nowa sytuacja daje mi tak dużo możliwości... Ale jestem zmęczona. Ostatnie dni, począwszy od naszej rozmowy, zmęczyły mnie bardzo. Tak wiele przeżyłam, przemyślała... I właśnie chcę wyjechać na jakiś czas, bo ludzie mnie męczą. Te wizyty!



Seria zdjęć z meczu Tony Galento i Joe Louis, w którym zwyciężył ten ostatni

Ta straszna ciekawość ludzka, wścibstwo! Ach, gdyby mogły te wszystkie wzorowo wychowane panie rozszarpać mnie wybrylantowanymi palcami, żeby się dostać do mego prawdziwego wnętrza, wywlec do najdrobniejszego szczegółu tę niebywałą sensację — uczyniłyby to niezawodnie natychmiast! Nie ma intencji nikogo obrażać, ale nie chcę oddawać wizyt, nie chcę wchodzić w świat ludzi, z którymi mnie nic nie łączy, którzy mi są obcy duchowo. Więc muszę wyjechać, muszę uciec! Po tym cichutko, incognito, wrócę i zacznę swoje życie. Próżnować tak, jak tamte panie — nie potrafię.

— Dokąd pojedziesz?

— Do księdza Jaczewskiego. U niego najlepiej wrócę do równowagi, najlepiej zdam sobie sprawę co mam dalej robić.

— A posada?

— Już zgłosiłam dymisję, dając na swoje miejsce znakomitą pracowniczkę, jedną z moich koleżanek, która była bez pracy. Zupełnie niespodziewanie stałam się bogatą. Gdybym nawet otrzymała tylko tyle, ile potrzeba jest na utrzymanie, to tak samo podałabym się do dymisji. Uważam, że w dzisiejszych czasach jest zbrodnią w stosunku do bezrobotnych, zajmować posadę, gdy niema ku temu konieczności.

— Tak, masz rację.

— Wyobrażam sobie — zaczęła Iga wesoło — w jakim humorze jest Ksawery! On tego nie przeżyje!! Bo przecie ty nie wiesz, co on ze mną wyprawiał!!

Tu opowiedziała Romanowi szantażowanie jej przez Ksawerego.

— Przypuszczam, że zmieni teraz taktykę — zauważył Roman — będzie dla ciebie przemiły i na pewno będzie chciał się z tobą ożenić.

— Sądzisz, że jest tak głupi, aby móc mieć w tym kierunku jakieś nadzieje?

— Na pewno!

— W takim razie daj mu braterską radę, aby nie tracił czasu.

— Jestem zupełnie oszołomiony tym wszystkim co zaszło. Długo żyłaś ze Stefanem?

— Prawie cztery lata.

— Przypominam sobie teraz te rozmaite plotki, jakie o nim krążyły. Rozmaite mamy, które miały córki na wydaniu, były zrozpaczone, że on — jak mówiono — „zaawanturował się w jakiejś miłosnej historii". Więc to o ciebie chodziło!... Ale ja przecie byłem na jego pogrzebie... Ach, czekaj! Jeden szczegół... Widziałem cię wtedy! Więcej nawet niż widziałem: niosłem cię. Bo to na pewno byłaś ty! Gdy wszyscy się rozeszli na cmentarzu przy grobie Stefana zostały jakieś dwie młode panie. Jedna z nich w żałobie. I ta właśnie zemdlała. Byłem na sąsiednim grobie mego przyjaciela, którego przy okazji odwiedziłem, i stamtąd zobaczyłem jak ta pani w żałobie zemdlała. Pospieszyłem z pomocą. Powiedz: to ty byłaś?

— Tak, to ja byłam. A ta druga pani, to Irka, o której nie raz ode mnie słyszałeś.

— Nigdy bym cię nie poznał... Ale to nic dziwnego. Właściwie nie widziałem twojej twarzy, przynajmniej bardzo mało. Byłaś w grubej żałobie... Czy to po Stefanie ją włożyłaś?

— Nie. To byłby nietakt. Na tydzień przed jego śmiercią umarła moja siostra, opowiadałam ci o niej.

— To okropne! Musiałaś wtedy przeżyć straszne chwile.

— O tak. I teraz dużo z tych chwil odżyło we mnie... Zwłaszcza jak czytałam list Stefana do matki...

— Nie myśl już teraz o tych smutnych sprawach. Pomyśl raczej o tym, że możesz sobie obecnie cudownie ułożyć życie!

Chwilę milczeli oboje.



Córka artystki filmowej Glorii Swanson wyszła za mąż za Roberta Williama Andersona

— Iga — zaczął Roman niepewnym tonem — co będzie z nami?...

— Najmilszy mój... będziemy dobrymi przyjaciółmi. To jest jedyna odpowiedź. Inaczej nie wyobrażam sobie naszych stosunków.

— Czy to jest nieodwołalna decyzja, Iga.

— Nieodwołalna — odpowiedziała przez zdławione gardło.

Wziął jej obie dłonie i ukrył w nich twarz.

Nachyliła się i pocałowała go w głowę.

— Zawsze będziesz dla mnie najbliższym człowiekiem, kochany. W moich uczuciach nic się nie zmieniło — prócz tego, że mogę im dać wyraz tylko w przyjaźni.

— Póki nie wyjdziesz zamąż.

— Romiś! co ty pleciesz... Ja i zamąż! Jakże mało mnie znasz...

— Przecie to nie jest nic niemożliwego. Na pewno będziesz miała mnóstwo starających się.

— Nie, Romiś, nie wyjdę zamąż.

— Przeze mnie?

— Nie... myślę, że gdybyś w grę nie wchodził, też nie wyszłabym.

— A za mnie, gdybym był wolny?

— Też nie.

Podniósł na nią zdziwione oczy.

— Dlaczego?...

— Od pierwszego dnia ślubu byłabym nieszczęśliwa. Znając twoją niewierność, znając twoją słabość, jeśli chodzi o kobiety, pobudliwość twoją pod tym względem i twoje — „zasady", Miała bym stale wrażenie, że wszystko co robisz w stosunku do mnie, każda chwila mnie poświęcona, jest wynikiem poczucia obowiązku. Wątpię czy w takiej atmosferze wytrzymała bym dłużej jak pół roku!... I pewno uciekła bym. Chyba, że przestała bym cię kochać — wtedy mogła bym pozostać. Co innego było, gdy wiedziałam z całą pewnością, że jeśli jesteś ze mną, to tylko dlatego, że sam tego chcesz. Nie byłeś do tego przez nic zmuszany, prócz twojej własnej ochoty. Nie wiązałam ci życia. W małżeństwie z tobą nie obroniła bym się przed wrażeniem, że jestem uosobieniem kajdanów. Im bardziej bym cię kochała, tym prędzej zerwała bym te kajdany.

— Trudno powiedzieć, aby kobiety nie były skomplikowane...

— Och, to takie przecie proste! Każdy kto umie kochać nieegoistycznie zrozumie o od razu!

W tej chwili zadźwięczał telefon. Iga sięgnęła po słuchawkę.

— Halo.

— ...

— Jestem przy telefonie.

— ...

— A... pani Romanowa Rolska... lekko pobladła, powtarzając to nazwisko. Roman zerwał się i począł nerwowym krokiem chodzić po pokoju). — Dobry wieczór...

— ...

— Tak, właśnie. W życiu bywają niespodzinki... Bardzo mi to pochlebia, że chciałaby mnie pani poznać...

— ...

— Tak, bliska rodzina... Ale właśnie jutro rano wyjeżdżam... Nie wiem jeszcze kiedy wrócę. Więc chyba musimy to odłożyć na później.

— ...

— Bardzo jest pani uprzejma... Wiele komplementów słyszałam w ostatnich dniach...

— ...

— Tak, tak. Naturalnie.

— ...

— Ależ, niema za co.

— ...

— Do widzenia pani.

Iga odłożyła słuchawkę i zakryła twarz rękami.

Roman poskoczył do niej; przytulał do siebie. Krótką chwilę tak trwali.

Raptem Iga odsunęła się gwałtownie i z rozpaczą w głosie zawołała:

— No widzisz, widzisz! jakie to jest wszystko okropne!... Muszę stąd uciekać! uciekać! Nie chcę nikogo! A jej przede wszystkim nie chcę, nie chcę, Nie potrafię grać komedii takiej jak wy wszyscy przed sobą ciągle odgrywacie, aby tylko „pozory zostały zachowane!..." Dlaczego jej nie wytłómaczyłeś, aby się mną nie interesowała, jak tamte wszystkie ciekawe, chorobliwie ciekawe...

— Ależ, malutka, uspokój się, Właśnie tylko dzięki moim perswazjom nie była wcale u ciebie. Wybierała się natychmiast razem z panią Dobrzaniecką. Widocznie nie mogła wytrzymać — i chociaż zatelefonowała... Przepraszam cię za tę przykrość, najmilsza.

— Wyjadę, zaraz jutro wyjadę. A jak wrócę zakonspiruję się całkowicie. Mój Boże! znowu konspiracja!!! Zmienię mieszkanie, sasuję telefon i będę siedziała cichutko, żeby nikt o mnie nic nie wiedział!

— A ja? Do mnie się nie odezwiesz po powrocie?

Iga zamyśliła się. I po chwili:

— Nie wyobrażam sobie, po tym incydencie z telefonem, jak będziemy mogli się widywać ze sobą?... Obawiam się, że to będzie niemożliwe. Nawet przy naszym przyjacielskim ustosunkowaniu się. Bez względu na to, czy zaczęłabym u was bywać, czy nie — wytworzyła by się atmosfera kłamstwa, której nie znoszę. Tak się wszystko skomplikowało... W każdym razie jednak, jak wrócę zatelefonuję do ciebie.

ROZDZIAŁ XIX.

Po miesiącu Iga zadzwoniła do Romana. Naznaczyli sobie spotkanie w jednej z zacisznych cukierni.

Roman tak był spragniony widoku Igi, tak bardzo ucieszył się jej telefonem, że przybył do cukierni, on, który każdą minutę czasu miał wyliczoną — na cały kwadrans przed oznaczoną godziną. Z wyraźnym zniecierpliwieniem spoglądał ciągle na zegarek. Zdawało mu się, że minuty długie są jak wieczność.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET



Elegancki kostium, robiony szydełkiem z wełny: 2 słupki i 2 półsłupki na zmianę. W nast. rzędach słupki będą nad półsłupkami, a półsłupki nad słupkami.

Wakacje letnie i ubiór

Rzadko kiedy wakacje trwają dłużej, niż miesiąc, trudno więc uprzykrzać sobie te krótkie chwile wielkim bagażem. Na tak zwaną „głęboką wieś" wystarcza dwie, trzy lniane sukienki do prania i jedna z lekkiego woalu, jeżeli do tego dojdzie jeszcze jedna z marocain w kwiatowy deseń. Pani będzie doskonale ubrana i będzie miała w czym zatańczyć, lub wyjść z wizytą.

Z okryć wystarczy cieplejszy sportowy płaszcz na niepogodę i do podróży, oraz nieprzemakalny na deszcz. Solidna para półbucików na błoto i para lekkich sandałów na upały.

Jeżeli Pani zamierza spędzić swój urlop nad morzem, kupi sobie zamiast sukienek — kilka piżam i kompletów plażowych. Całe bowiem życie towarzyskie nadmorskie koncentruje się na plaży. Plaża zastępuje i salony i kawiarnie i dancingi. Należy pamiętać o tym, aby być zaopatrzoną w odpowiednią piżamę nie tylko na pogodę, ale również i na dzień chłodniejszy. Na taką okazję najodpowiedniejsza jest ciepła flanelowa piżama lub — jeśli kto woli — z wełnianego trykotu, w kolorze najlepiej granatowym, a w fasonie marynarskim. Garnitur marynarski przedstawia się w ten sposób: spodnie granatowe i trykotowa bluzka w granatowo-białe pasy, lub biała z granatowym kołnierzem i z haftowanym motywem morskim na rękawie. W dni upalne najlepsze są shorty ze staniczkiem, uzupełnione peleryną lub sukienką plażową.

Okrycie to samo co na wieś, tylko do obuwia dochodzi jeszcze para plażowych pantofli na wysokich, jak koturny teatralne obcasach i podeszwach.

Kto ma zamiar wybrać się w góry, musi pomyśleć o cieplejszym płaszczu wełnianym i solidniejszym kostiumie sportowym, najlepiej z porządnego samodziału zaopatrzonego w wygodne i racjonalne jupe-culotty zamiast spódnicy. No i obuwie musi być w tym wypadku solidniejsze. Najlepiej do zwykłego obuwia dodać podkute buty górskie z mocnego, nieprzemakalnego boksu. Obuwie takie wymaga specjalnych skarpetek wełnianych, takich samych, jakie są używane do zimowych sportów.

Najwięcej kłopotu z tualetą mają te panie, które wybierają się na urlop do uzdrowisk. Tu obowiązuje kolekcja różnokolorowych przed i popołudniowych sukienek, żeby starczyło i na dancing i do domu zdrojowego na zabawę. Do niezbędnych płaszczy, sportowego i deszczowego dochodzi jeszcze lekka wełniana narzutka bez podszewki, jedwabny komplecik z bolerkiem, jakiś strojny płaszczyk i kilka kapeluszy. Obuwia, toreb, rękawiczek, pasków, kołnierzyków i szalików — im więcej i im różniejsze — tym lepiej. Na ogół gdziekolwiek się jest, rano nosi się najchętniej skromne sukieneczki lub garsonki sportowe, przybrane koroneczką lub piką. Krajowe fabryki przygotowały na tę porę dnia naprawdę czarujące i w niczym nie ustępujące zagranicznym tkaniny z wełnianych i bawełnianych samodziałów oraz czesuczy. Niektóre krajowe jedwabie są tak piękne, że mogą śmiało konkurować z wyrobami fabryk francuskich i bardzo często nawet je przewyższają zarówno pod względem jakości materiałów, jak i pod względem deseniu i doboru barw.



Sportowa sukienka na przed południe, o ślicznym kroju. Rękawki raglanowe. Fałdy poniżej kolan rozchodzą się, tworząc tak modną dziś linię.

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Dziennikarka angielska w Polsce

Przybyła do Polski specjalna wysłanniczka czołowych dzienników angielskich miss Rigby, z zamiarem napisania artykułów i reportaży o życiu w Polsce i o najważniejszych zagadnieniach bieżących. Mis Rigby jest reprezentantką „Timesa", „Yorkshire Post" (organ konserwatystów, żywo interesujący się Polską) i „Glasgow Herald" (znane pismo szkockie).

W Warszawie miss Rigby zwiedziła miasto i odwiedziła szereg organizacyj kobiecych, interesując się ich pracą społeczną i obywatelską, następnie udała się dziennikarka angielska do Krakowa i do Zakopanego. Pobyt jej w Polsce trwał dwa tygodnie.

Płyty nauczą nas gotować

Francuscy fabrykanci płyt gramofonowych rzucili ostatnio na rynek komplet płyt z... przepisami kucharskimi. Każda płyta zawiera dwa lub cztery przepisy, dzięki którym kobieta, która nigdy nawet nie gotowała, może zrobić smaczny i ekonomiczny obiad.

Płyty te cieszą się wielkim powodzeniem i wytwórnie sfabrykowały już 250 płyt z rozmaitymi „nagraniami".

Okazało się jednak, że głównymi odbiorcami tych płyt są nie kobiety, lecz mężczyźni.

Kolekcja ta podzielona jest na działy, jak np.: zupy, mięsa, sosy, ryby, dania jarskie, coctaile i t. d.

Kobieta - członkiem Akademii Umiejętności

P. Lina Stern, były prof. chemii na uniwersytecie w Genewie, a obecnie profesor fizjologii w moskiewskim Instytucie Medycznym, została mianowana członkiem Akademii Umiejętności Z. S. R. R.

Nominacja ta wywołała powszechną sensację, gdyż jest to pierwszy wypadek dopuszczenia kobiety do grona członków rosyjskiej Akademii.

Pożyteczna ustawa

Parlament Stanów Zjednoczonych przyjął ostatnio ustawę, która nazwana została od nazwiska wnioskodawcy „bill Saltiela". Ustawa ta nakłada na kobiety ciężarne obowiązki poddawania się badaniom krwi.

Wnioskodawcy chodziło o rzeczywistą ochronę rasy i krwi (nie tak, jak w III Rzeszy). Medycyna bowiem dowiodła, że dziecko zrodzone z matki chorej na syfilis i nie leczącej się — jest chore i po kilku latach życia umiera. Kobieta natomiast chora, lecz poddająca się kuracji w czasie ciąży, rodzi przeważnie dziecko zdrowe.

Ustawa ta niewątpliwie uratuje dla życia wiele istnień ludzkich.

Augusta - Królewska Kochanka

Piękna córka Tytusa i Narcji Furnilii, urodzona w roku 65 po Chrystusie, zakochała się do szaleństwa w swym stryju, cesarzu rzymskim — Demitiuszu. Miłość ich była wzajemna.

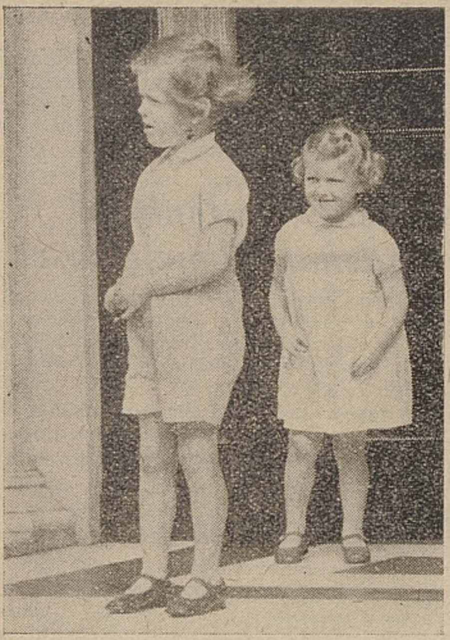
Kochankowie podstępem zamordowali męża młodziutkiej Julii, Flaviusa Sabinusa. Wówczas Domitius umieszcza Julię w swym cesarskim pałacu, gdzie ukrywa ją pod imieniem Augusty (Boska).

Płyną długie miesiące rozkosznej, lecz występnej miłości, aż nagle niepożądana ciąża Julii, przerywa radość kochanków. Julia obawia się stracić klasyczne kształty, a Domitius nie czuje sentymentu do ojcostwa. Postanawiają wywołać sztuczne poronienie — wskutek którego dwudziesto letnia Julia umiera.

Zakochany i zrozpaczony Domitius zaliczył swą kochankę między boginie i nakazał by wszędzie zbudowano jej posągi. Przez kilka wieków Rzymianie modlili się do boskiej Augusty.



Wytworny płaszczyk z granatowej wełny w białe paseczki. Kapelusik granatowy z zielonym piórkiem i granatowo-zielonym pomponem.



Dzieci księstwa Kentu: książę Edward i księżniczka Aleksandra żegnają swych rodziców, odjeżdżających na ślub księżniczki Ireny i italijskiego księcia von Spoleto.

Zlikwidowanie katolickiego czasopisma w Niemczech

Władze narodowo-socjalistyczne zakazały wydawania znanego i poczytnego w całych Niemczech czasopisma kobiecego „Monika", przeznaczonego specjalnie dla katolickich matek i gospodyń. Pismo wydawała od szeregu lat znana fundacja „Cassianeum" w Donauwoerth. Przestało ono wychodzić w 71 roku swego istnienia.

Wysoka protektorka przemysłu duńskiego

Następca tronu duńskiego królewicz Fryderyk i jego małżonka Ingrid wybrali się specjalnie do Ameryki, aby uczestniczyć przy otwarciu duńskiego pawilonu na wystawie w Nowym Jorku.

Królewicz i jego małżonka byli nadzwyczaj serdecznie przyjmowani przez społeczeństwo amerykańskie, a eleganckie Amerykanki specjalną uwagę zwracały na pantofelki księżniczki.

Księżniczka nosi pantofelki tylko ze skóry rybiej. W ostatnich latach w Danii przeprowadzono cały szereg doświadczeń, mających na celu wynalezienie sposobu tak doskonałego garbowania rybiej skóry, aby mogła ona zastąpić inne rodzaje skór.

Doświadczenia zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem i w Danii przystąpiono do eksploatowania na wielką skalę skór rybich, do niedawna jeszcze uważanych za bezwartościowe. Ponieważ Dania eksportuje co roku ponad trzy miliony samych tak zwanych filetów rybich, które bywają oczyszczane ze skóry przy wyrobie, przeto rybich skór będzie miała pod dostatkiem. Obecnie sporządza się w Danii nie tylko rozmaitego rodzaju galanterię, jak portfele, portmonetki, papierośnice i torebki damskie, ale nawet obuwie damskie i męskie ze skór rybich.

Księżniczka Ingrid udając się do Ameryki zabrała ze sobą kilkadziesiąt wspaniałych toalet, a do każdej toalety stosowne do niej obuwie ze skóry rybiej. Tym sposobem księżniczka zamierzała zwrócić uwagę Amerykanek na nowy rodzaj skóry i pomóc tym duńskiemu przemysłowi.

Trzeba stwierdzić, że cel ten osiągnęła w zupełności i pantofelki z rybiej skóry stały się w Ameryce ostatnim krzykiem mody. — W związku z tym duńskie wytwórnie otrzymały tyle zamówień, że ledwie zdołają im podołać.

Kąpiele słoneczne

Nigdy nie pozwól, aby woda wysychała na twej twarzy. Po kąpieli wytrzyj twarz delikatnie miękkim ręcznikiem, nigdy szorstkim i nigdy suchym. Zanim wystawisz twarz na działanie słońca i powietrza, natrzyj ją dokładnie kremem. Nigdy nie pozwól, aby pot wysechł na twojej twarzy. Rezultatem są rozszerzone pory i szorstkość skóry. Wytrzyj pot kolońską wodą i nałóż obficie krem. Jeśli masz z natury rozszerzone pory, spróbuj twarz obmywać sokiem ogórkowym lub cytrynowym.

Nie myj nigdy natychmiast po słonecznej kąpieli twarzy zimną wodą — na pewno dostaniesz piegi. Istnieje bardzo wiele środków na piegi, ale najlepiej jest im zapobiegać. Jeśli ktoś ma do nich skłonności, powinien możliwie twarz pozostawić w cieniu. — Jeśli jednak ukazały się i dręczą naszą próżność, to najskuteczniejszą jest kuracja łuszcząca. — Oczywiście wymaga ona kilku tygodni samotności, bo widok łuszczącej się twarzy nie jest bynajmniej estetyczny.

Z powodu tego jednak, że lato jest okresem najmniej sprzyjającym samotności, należy na defekty swej skóry nie zwracać zbytniej uwagi i nosić z wdziękiem swe piegi. Okaże się wtedy, że nie są one takim błędem i nawet mogą być pewną pikanterią i „charmem".

Nacierai oliwą swą skórę i przed położeniem się na słońcu, zawsze trochę poczekaj, by oliwa wsiąkła. Jeśli nie czynisz tego, skóra twa nabierze brudno-brązowej barwy, a nie złocistej, jak sobie tego życzysz. Rozpoczynaj od piętnastominutowej kąpieli słonecznej i dodawaj codzień po pięć minut, dopóki będziesz mogła leżeć na słońcu bez obawy bólu głowy i łuszczenia skóry. Uważaj, aby równomiernie opalać plecy i przód ciała i nie zapominaj podnosić podbródek, aby opalić również swą szyję.

RADY PRAKTYCZNE

Nowe obuwie często pali stopy. Aby się tego pozbyć, wystarczy dobrze wetrzeć w wewnętrzną stronę podeszwy kilka kropel spirytusu.

Po myciu włosów należy je spłukać wodą, do której podaje się trochę soku cytrynowego albo octu. Zakwaszona woda zapobiega wczesnemu siwieniu włosów, czyni je miękkimi i puszystymi.

Czyszczenie mebli koszykowych. Zawsze jeszcze meble koszykowe mają swych adoratorów i chętnie używane są w przedpokojach, pokojach balkonowych i zawsze dobrze wyglądają, jeżeli... są czyste. Zwykle meble koszykowe czyści się ciepłą wodą z mydłem, z dodaniem nieco amoniaku.

Aby meble koszykowe nabrały połysku, można je pociągnąć bezbarwnym lakiem.

Lustra poplamione przez muchy należy zmyć wodą letnią, potem mokre natrzeć takim mydełkiem, jakiego używa się do czyszczenia metali. Gdy wyschnie, wytrzeć powierzchnię lustra starym płótnem dla nadania połysku.

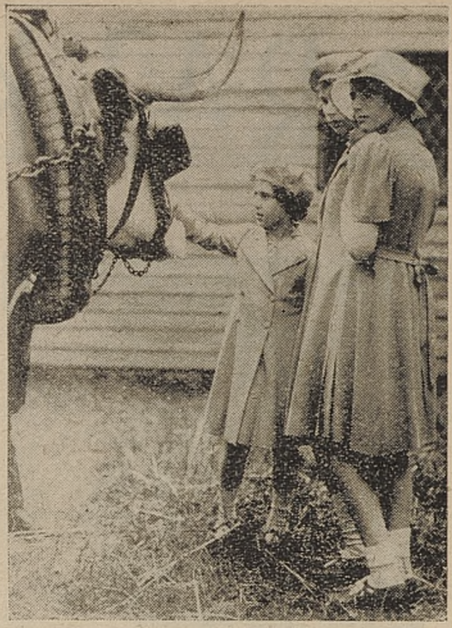
ZE ŚWIATA

...W ostatnim czasie Brytyjskie Towarzystwo dla Walki z Niewolnictwem święciło stuletnią rocznicę swego powstania.

W Imperium Brytyjskim niewolnictwo zostało zniesione aktem parlamentu w roku 1833. Pionierami w walce z niewolnictwem byli wybitni brytyjscy działacze społeczni jak William Wilberforce, Buxton, Fry i inni. Dzięki ich niestrudzonej akcji niewolnictwo prawie, że już nie istnieje. Towarzystwo jednak walczy dalej, aż do osiągnięcia swego celu: całkowitego wyplenienia niewolnictwa ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej.

—o—

...Pomocnikiem sławnego rzeźbiarza amerykańskiego Borglum'a jest 30-letni Polak, Korczak-Ziółkowski, pochodzący z Hartford, Conn. Jest on samoukiem, rzeźbi przeważnie w marmurze i zwykle z pamięci bez modelu. Staje przed bryłą marmuru z dłutem i młotkiem i wykuwa formy powstałe w jego fantazji.



Księżniczka Małgorzata Róża wraz ze swą siostrą księżniczką Elżbietą, następczynią tronu angielskiego zwiedzają wystawę w Parku Windsor.

Na wystawie nowojorskiej znajdują się dwie wielkie rzeźby Ziółkowskiego, a mianowicie biusty Paderewskiego, które Ziółkowski nazwał „Studium Nieśmiertelnego". Rzeźby te wykonane są w marmurze z pamięci, gdyż raz tylko, i to przez czas krótki, miał Ziółkowski sposobność widzieć znakomitego pianistę.

—o—

...Gmina Lopud na wyspie tej samej nazwy na morzu Adriatyckim w pobliżu znanej miejscowości letniskowej i wypoczynkowej Dubrownik, jest szczęśliwą gminą, gdyż mieszkańcy jej nie płacą żadnych podatków. Gmina pokrywa wszystkie swoje wydatki i płaci podatek państwowy, czerpiąc środki ze znacznego ruchu turystycznego, który przynosi jeszcze pokaźne zyski.

—o—

...Dzienniki paryskie obiegła sensacyjna wiadomość, że słynna Teresa Humbert otrzymała spadek, tym razem — spadek prawdziwy, kilka tysięcy franków po zmarłym bracie, Ludwiku Daurignac. Ten brat był jedynym chyba w całej rodzinie osobnikiem, nie zamieszanym w milionowe matactwa, które „wielką Teresę" uczyniły sławną w pierwszych latach bieżącego wieku. Miał skromny sklepik z termometrami, a że był wdowcem bezdzietnym i nie zostawił testamentu, przeto jego mienie przypadło siostrze.

Wiele osób myślało, że Teresa Humbert dawno już nie żyje. Tymczasem żyje i mimo lat 80-ciu, trzyma się jeszcze wcale dobrze. Jest w zupełnej biedzie. Reporterzy mieli wiele kłopotu, zanim ją odnaleźli, ponieważ staruszka, ciągle zmienia mieszkanie. Zrobiło się to u niej rodzajem manii. Oczywiście, odziedziczony spadek nie zmieni zasadniczo jej sytuacji materialnej.

Warto w paru słowach przypomnieć aferę Humbertów, która swojego czasu zelektryzowała cały świat, zanim przyszła wojna, a po niej — nowe oszustwa na światową skalę.

W roku 1878 młody Fryderyk Humbert, malarz i poeta, syn Gustawa Humberta, senatora, dawnego ministra sprawiedliwości, poślubił piękną pannę Teresę Daurignac rodem z Beauzelle pod Tuluzą. Ponieważ Humbertowie należeli do najwyższej burżuazji paryskiej, małżeństwo było by właściwie mezaliansem, gdyby nie urodą panny młodej, i... jej kolosalny posag. Przynosiła bowiem mężowi sto milionów franków przedwojennych, zapisanych jej przez multimilionera amerykańskiego, Crawforda.

Zanim zdążono się zdziwić, czemu to piękna panna odziedziczyła tyle pieniędzy, dwai bratankowie testatora wystąpili o obalenie zapisu. Sprawę wniesiono do sądu, i pani Humbert, aż do czasu wydania wyroku, musiała papiery wartościowe i gotówkę na sumę sto milionów franków, przechowywać w kasie ogniotrwałej w swoim domu.

Nieprawdopodobne — czyż nie tak? Czemu nie zdeponowano spornych walorów w sądzie lub gdzieindziej? A jednak wszyscy wierzyli, że pani Humbert majątek w szafie posiada, i pożyczali na tę niepewną hipotekę olbrzymie sumy.

Małżonkowie Humbert wiedli w Paryżu książęcy tryb życia. Pani miała wspaniałe klejnoty, własną lożę w Operze, a na przyjęciach w pałacyku na Avenue de la Grande Armée (gdzie mieści się obecnie francuski Touring Club) bywał „Tout-Paris".

Do tego to pałacyku, dnia 9 maja 1902 roku, przybyli agenci policji i otworzyli słynną szafę. Znaleziono tam kilka drobnych klejnocików i tom wierszy Fryderyka Humbert. Więcej nic nie było. A we wspomnianym tomie wierszy najpiękniejszy zatytułowany był „Prawdziwi bogacze".

Jakże to się stało, że przeszło dwadzieścia lat potrafili Humbertowie kpić sobie w żywe oczy z ludzi i okradać ich bez miłosierdzia? W znacznej mierze przypisać to trzeba osobistemu wdziękowi Teresy Humbert. Toteż, gdy zasiadła na ławie oskarżonych, pociągnęła za sobą nie tylko swoich krewnych, ale również i urzędników administracyjnych oraz sądowych. Wszyscy ukarani zostali krótszym lub dłuższym więzieniem. Testament, na który powoływali się Humbertowie, był naturalnie fałszywy.

Trzeba dodać, że oszustwo pleniło się bujnie w rodzinie Daurignac'ów. Inny brat Teresy, Roman, był znanym niebieskim ptakiem, który obiegł niemal świat cały w pogoni za fortuną. On to puścił w ruch towarzystwo „Renty dożywotniej", przy którego pomocy wydrenował wiele milionów do kieszeni zacnej familijki. Siostra Maria oraz brat Emil byli także w zmowie z Teresą Humbert.

Tylko jeden Ludwik trzymał się zdala od tego wszystkiego. Skromne jego oszczędności umilą nieco starość przestępczyni-siostrze.

APOLINARY ŻURAWSKI

Grzech Wojciecha Wrzosa

NOWELA

(Dokończenie.)

Ginęło wszystko! Jutro, gdy słońce znowu zaświeci, nie będzie tu już starych, omszałych dachów, pobielonych ścian i skrzypiących wrót od obejścia — same tylko gruzy i dymiące zgliszcza będą jedyną pozostałością z rodzinnego gniazda.

Ach, jakie to bolesne! Lepiej było by nie dosyć tej chwili!...

Gwałtowne uczucie żalu ścisnęło mu gardło i łzy palące, jak groch zaczęły toczyć się po pobladłej twarzy. W gromadzie rozległy się szepty. Litowano się nad nim:

— Biedny chłopak! To przecież miało być jego... — mówił ktoś.

A inny dodał jeszcze:

— Nie tak źle... Było ubezpieczone we „fajerkasie", to wypłacą. Będzie wszystko nowe.

O, jacy oni dziwni! Nowe — i basta!... Nie rozumieją, że w starym żyły wspomnienia, każdy kąt mówił tak wiele... wiele, a nowe — chociaż ładne i zgrabne, będzie wiało chłodem i pustką.

— Janek! chodź... idziemy! — wyrwał go z odrętwienia głos ojca. Spojrzał dokoła na półprzytomnie.

Iść... Gdzie?... Po co? Czyż mają dokąd iść? Przecież te gruzy i zgliszcza — to wszystko, co im pozostało!...

— Janek! — rozległo się po raz drugi i ręka ojcowska spoczęła na ramieniu chłopaka. Słyszysz?... Idziemy!...

Nie odrzekł nic, tylko odwrócił się i zaczął iść wolno obok ojca. Było mu już obojętnie: dokąd.

Za nimi dopalały się zgliszcza i dymiły popioły.

— — — — — — — —

Minął rok. Na miejscu spalonej zagrody Wojciecha Wrzosa stały już nowe budynki, kryte dachówką, zwiezioną aż z odległego o kilka wiorst miasteczka. Wszystko było ładne, proste i wygodne, pachnące jeszcze wapnem i żywicą.

W oborze znowu porykiwało bydło, w stajni stały u żłobu wypasione konie, a w gołębniku, na środku podwórza stojącym, gruchały gołębie po dawnemu. Wśród nowych ścian, życie codzienne toczyło się nadal starym, utartym torem.

Ten i ów z sąsiadów Wrzosa, spoglądając nie bez zazdrości na jego obejście, mawiał do siebie: — Nie ma, jak to takiemu! Wszystko idzie mu jak z płatka. Zostawi chłopakowi gospodarkę, jak się patrzy...

Zdawać by się mogło, że i Wrzos był również z siebie i życia zupełnie zadowolony. Tymczasem, już sam wygląd jego mówił wyraźnie, że tak nie było. Stary gospodarz pochylił się i postarzał ogromnie w ciągu tego jednego roku. Twarz jego czerstwa dawniej i rumiana, poszarzała teraz dziwnie i schudła, oczy zaś przybrały chorobliwy wyraz, spotykany tylko u ludzi cierpiących.

Więc cierpiał. Coś mu dolegało. Co? — nikt nie wiedział, nawet Janek.

A ilekroć chłopak zaniepokojony wyglądem ojca, zwracał mu na to uwagę, dopytując się czy czasem nie chory, otrzymywał zawsze jedną i tę samą odpowiedź:

— Zdaje ci się, chłopcze. Jestem zdrów jak ryba i nawet cięższa robota nie szkodzi mi ani trochę...

Było jednak wręcz przeciwnie. Wojciech Wrzos nie chciał tylko zdradzić synowi, że czuje się coraz gorzej, ażeby go nie przestraszać.

Tak mijały tygodnie, minął miesiąc, jeden i drugi.

Aż któregoś ranka Wrzos zrozumiał, że musi pozostać w łóżku, bo nie utrzymałby się na nogach.

— To nic! Poleżę trochę, odpocznę... i będzie znowu dobrze... — pocieszał siebie i Janka przerażonego bladością twarzy ojcowskiej.

Na drugi dzień był już jednak tak słaby, że o własnych siłach nie mógł się unieść na łóżku.

Posłano po księdza. Chory wyspowiadał i przyjął ostatnie namaszczenie Olejami św., a potem kazał wyjść wszystkim z izby, w której został tylko Janek. Chłopak klęczał przy łóżku ojca i całował z płaczem jego ręce, leżące nieruchomo na białej pościeli, od której nie odróżniały się prawie.

Chory milczał przez długą chwilę, utkwiwszy wzrok w jeden punkt na ścianie, a potym zaczął nagle słabym głosem:

— Nie płacz, Janek... każdy przecież raz umrzeć musi, a ja już swoje przeżyłem. Słuchaj lepiej co ci powiem teraz. Będzie to straszne i okrutne... Może pogardzać mną będziesz i potępiać, ale... trudno. Jedno tylko pamiętaj, że chociaż ojciec twój zgrzeszył ciężko — pchnęła go do tego jedynie miłość dla swego dziecka, którą fałszywie zrozumiał. Tak... Zgrzeszyłem ciężko wobec Boga i ludzi, ale Bóg mi świadkiem, że uczyniłem to tylko dla ciebie, dla twej przyszłości... — Tu urwał na chwilę, dla nabrania sił, które opuszczały go powoli, lecz nieustannie, a potem mówił znowu:

— Chciałem i pragnąłem zawsze, już nawet wtedy, gdy byłeś dzieckiem jeszcze, widzieć cię, raz kiedyś, zamożnym gospodarzem, nie takim jak tylu innych. Całe życie starałem się zebrać dla ciebie chociaż jaki taki majątek i odnowić jakoś, chylące się już od starości budynki. Tymczasem, lata mijały, ja zaś zdążyłem zawsze zebrać tylko tyle, że starczyło zaledwie na spędzenie potrzeb codziennych.

Myśl o tym, że po mojej śmierci ty będziesz dalej żył i mieszkał w nędznej, na pół rozpadającej się już w gruzy chałupie nie pozwalała mi spać po nocach i odbierała apetyt do jedzenia. Aż przyszedł dzień, w którym podszepnął mi szatan zbrodniczą myśl. Byłem tak zaślepiony, że nie zważając na nic, usłuchałem go. I wtedy to... podpaliłem swe własne obejście... ażeby kosztem ubezpieczalni pobudować nowe i — zarobić na tym jeszcze...

— O, Boże!... — Jęknął Janek, ukrywając twarz w dłoniach. — Co ojciec mówi?!... To chyba nie prawda! To być nie może! Nie! Ja w to nie wierzę!...

Po twarzy chorego przemknął gwałtowny skurcz bólu.

Po chwili, nie zważając na prośby syna: żeby się nie przemęczał, mówił dalej:

— Bóg mnie ukarał za to bardzo ciężko. Oszukałem ludzi, pobudowałem tak, jak tego pragnąłem, ale — cóż z tego?... Zabiły mnie wyrzuty sumienia — nie będę już widział cię żyjącego dostatnio. A czy to jeszcze koniec...? Kto wie, może i ty cierpiał będziesz za mój grzech?... O Boże!... jakie to straszne! Janek... powiedz: przebaczysz ty mi kiedy to wszystko?... — Tu Wojciech Wrzos zamilkł i tylko gorzkie, palące ogniem łzy potoczyły się po jego wychudłych policzkach.

A potem szukając gasnącym wzrokiem oczu jedynaka powtórzył znowu, ciszej jak poprzednio:

— Powiedz... przebaczysz?... Lżej mi będzie.

— Ojciec!... — zaszlochał chłopak, nie panując już nad swym bólem. — Ja... ja... mam ojcu... — urwał napotkawszy spojrzenie umierającego, w którym widniała taka głębia niewysłowionej męki i tyle niemej prośby, że zamiast dokończyć, pochylił się tylko do ręki ojcowskiej i cicho, jakimś nieswoim głosem wyjąkał:

— Przebaczam...

Usta konającego poruszył ledwo dostrzegalny uśmiech:

— Dziękuję ci... — zabrzmiał cichy szept. — Niech ci Bóg błogosławi... A pamiętaj zawsze, że kto własną... zbrodniczą ręką niszczy swój dobytek dla zysku... tego karzący palec Boży dosięgnie na pewno...

Po tych słowach ciało Wojciecha Wrzosa wyprężyło się nagle i opadło bezwładnie na poduszki.

Stary gospodarz już nie należał do żyjących.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KRYPTOGRAM

ułożył Witold Mataczyński — Łysinin

Z poniższych 20 wyrazów wybrać po 3 sąsiadujące litery i ustawiwszy kolejno, odczytywać rozwiązanie. Przysłowie „paragrafy" wziąć,,,, tylko dwie litery sąsiadujące o dodać litery „i".

— — — — — — — — —

Wyrazy: 1 tolerować, 2 posmarować, 3 zabójstwo, 4 znamienne, 5 sekretarz, 6 w ogóle, 7 głupstwo, 8 Apolinary, 9 posiada, 10 odpowiadać, 11 niewola, 12 alarmem, 13 zrozumieć, 14 harfa, 15 paragrafy, 16 posłuszne, 17 hacele, 18 obrazów, 19 zagłuszyć, 20 głuchych.

Za rozwiązanie powyższego zadania redakcja wyznacza nagrodę w postaci książki.

Rozwiązania należy nadsyłać do 5 sierpnia włącznie.

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 29 „Moich Powieści" — Rydz-Śmigły — nadesłali: Janina Hamerska — Rypin, Zofia Ostrzyńska — Żurawno, Lud. Janowski — Poznań, Hanka Reiserówna — Puszczykowo i „Młody las".

Nagrody w drodze losowania przypadły: L. Janowskiemu — Poznań i Zofii Ostrzyńskiej — Żurawno.

Radio

Niedziela, dnia 30 lipca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 8.15 Popularna muzyka polska w wyk. ork. wojskowej z Poznania 9.00 Transmisja z Augustowa (nabożeństwo) 12.03 Koncert ork. filharmonii londyńskiej 13.15 Muzyka obiadowa z Poznania 14.45 „Czytam Mickiewicza" — „Pan Tadeusz", księga II-ga 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital fortepianowy Ireny Kurpisz-Stefanowej (z Torunia) 16.55 Muzyka symfoniczna 17.15 „Kto odpowie?" — audycja rozrywkowa 17.30 „Podwieczorek przy mikrofonie" z Augustowa 19.00 Teatr Wyobraźni — „San Just" słuchowisko 19.30 Trzy słynne wirtuozki francuskie (płyty) 21.15 Koncert rozrywkowy z Grudziądza (przez Toruń). W przerwie o godz. 21.50 „Dobry żart tynfa wart" audycja konkursowa.

Poniedziałek, dnia 31 lipca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Pogadanka dla kupców „Jak pracuje biuro organizac. — handl. rzemiosła polskiego 12.03 Audycja południowa 14.45 Słuchowisko dla młodzieży „Dawid Copperfield" (cz. III) 15.15 Muzyka popularna z Rozgłośni Poznańskiej 16.20 Koncert chórów Wielkopolsk. Zw. Śpiew. z Poznania 17.00 Muzyka do tańca 18.00 Dawna muzyka fletowa 18.20 „Polskość ewangelicyzmu na Śląsku Ciesz." — odczyt 18.50 Recital fortepianowy Killy Baranyi (Węgry) 19.30 Przy wieczerzy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 „Z kraju gór, śniegów i mocnych ludzi" reportaż dźwiękowy ze Szwajcarii 21.50 Echa mocy i chwały 22.00 Muzyka do tańca.

Wtorek, dnia 1 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Pensjonat organizuje wycieczkę w góry — gawęda ze Lwowa 12.03 — Audycja południowa 14.45 Przerwane wakacje (cz. II) opowiadanie dla młodzieży 15.00—15.15 Muzyka góralska w wyk. Kapeli Wojtka Szwaba Bajora z Witowa 15.15 Muzyka popularna z Rozgłośni Katowickiej 16.20 Utwory organowe w wyk. J. Pawlaka — z Poznania 16.45 Kronika literacka 17.00 Muzyka do tańca 18.00 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera 18.25 Jan Brahm: Trio Es-dur na fortepian, skrzypce i altówkę 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" (z Wilna) 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Gioacchino Rossini: „Cyrulik Sewilski" opera komiczna w wyk. solistów i ork. Teatru „La Scala" w Mediolanie. W przerwie szkic literacki o Rossinim Cyruliku Konstantego Regamey'a.

Środa, dnia 2 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Pogadanka turystyczna 12.03 Audycja południowa 14.45 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci 15.15 Muzyka popularna w wyk. Orkiestry Salonowej z Łodzi 16.20 Recital altówkowy M. Szalewskiego 16.50 Lato: „Upalne południe wśród łąk i pól" — pogadanka 17.00 Muzyka do tańca z dancingu „Cafe Paradis" 18.00 Słynne symfonie (muzyka z płyt) 19.00 „Dziwna przygoda" — Kukułka Wileńska 19.30 „Przy wieczerzy" (ze Lwowa) 20.10 Odczyt wojskowy 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Witolda Małcużyńskiego 21.40 „Nowości literackie" (z Krakowa) 22.00 Ze współczesnych operetek (płyty).

Czwartek, dnia 3 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.20 Pogadanka sportowa 12.03 Audycja poł. 14.45 Wojsko polskie „Pierwsza Kadrowa" — aud. dla młodzieży 15.05 Muzyka popularna z Katowic 16.20 Utwory Karola Prosnaka w wyk. chóru mieszanego żeńskiego 16.45 Reportaż z Muzeum Przymysłu i Techniki 17.00 Muzyka do tańca (płyty) 18.00 Echa mocy i chwały 18.10 Koncert z Poznania 19.00 „Wielkie włóczęgi morskie": fragment z „Odyssei" 19.20 Przy wieczerzy" 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Z nieznapomnianych pieśni — audycja z Krakowa 21.30 Teatr Wyobraźni „Jutro" nowela Konrada Korzeniewskiego 22.20 Koncert solistów.

Piątek, dnia 4 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Kłopoty i rady „Próbujmy wrócić do natury" dialog 12.03 Audycja południowa 14.45 „Przerwane wakacje" (cz. III) opow. z Krakowa 15.00 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 Koncert budapeszteńskiego chóru kolejowego 16.45 Rozmowa z chorymi ks. kapelana M. Rękasa 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Recital śpiewaczy H. Lipowskiej 18.25 Kwartety Beethovena (płyty) 19.00 „Książki do których się wraca": „Ludzie bezdomni" 19.20 Chwila Biura Studiów 19.30 „Przy wieczerzy" (z Wilna) 20.25 Audycja dla wsi 21.00 „Ilustracje muz. do utworów scenicznych". Muzyka Wiliama Szekspira 22.15 „Polska między Wschodem a Zachodem" Polska myśl wojskowa na granicy dwóch światów" — odczyt 22.30 Pół godziny muzyki na dawnych instrumentach (płyty).

Sobota, dnia 5 sierpnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa: Sztafeta 25-lecia wymarszu I-szej Kadrowej wyrusza z Krzywopłot (przez Kraków) 14.45 Audycja dla dzieci — „Wesoły podwieczorek" 15.15 Muzyka popularna 16.20 Polonezy w wyk. Zb. Drzewieckiego — fortepian 17.00 Muzyka do tańca 18.00 „Echa mocy i chwały" 18.10 Koncert muzyki polskiej 19.00 „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" — wesoła powieść 19.35 Audycja dla Polaków z zagranicy — „Powstały sztandary wczas rano" — aud. słowno-muzyczna 20.05 Melodie ziemi polskiej — Tadeusz Sygietyński — szkice mazowieckie 20.25 Przybycie sztafet do Oleandrów — Transmisja z Krakowa 20.45 Apel poległych I Kompanii Kadrowej — transm. z Krakowa 21.20 Muzyka 22.00 Teatr Wyobraźni: „Na polach popiołów" — słuchowisko 23.20 Polska muzyka taneczna.



MECHANIZACJA

W gabinecie Forda zadźwięczał telefon.

— Halo! tu mówi Ford.

— Good morning mr. Ford — odzywa się głos w telefonie — chciałbym pana o coś zapytać.

— Proszę.

— Czy to prawda, że pewnego razu wykonano w pańskiej fabryce samochód w ciągu siedmiu minut i czterdziestu sekund?

— Tak jest.

— No, to ja mam pecha! — woła z goryczą rozmówca. — Napewno akurat to auto kupiłem.

LA VIE PARISIENNE

Man. Reynaud, jak wiadomo, odznacza się niewielkim wzrostem — półtora metra z kawałkiem.

W paryskim metro rozmawiają dwaj obywatele:

— Nasz minister skarbu jest podobno bardzo mały...?

— Tak, sięga mi akurat do kieszeni!

A JA MYŚLAŁAM...

— Lolu! Wierz mi, będę cię kochał wiecznie...

— A ja naiwna myślałam, że się ze mną ożenisz...

TO CO NAJWAŻNIEJSZE

— Co to jest udana konferencja międzynarodowa?

— Jest to konferencja, której udało się ustalić datę następnej konferencji.

KAMIEŃ OBRAZY

— Oluś obraził mnie.

— Co ci powiedział?

— Że jestem głupi dureń.

— Całkiem logicznie. Przecież wszyscy durnie są głupi.

KAC I KOTEK

— Panie Kotek, czy wie pan, jaka jest różnica między wariatem a geniuszem.

— No?

— Wariat jest utrzymywany na koszt państwa lub gminy...

TRZEBA ZACZEKAĆ

Do pani Rąbalskiej wchodzi sąsiadka.

— Może mi pani pożyczy wałek do ciasta?

— Może później. Mój mąż jeszcze nie wrócił do domu..

KWIATKI SZKOCKIE

Bogaty bankier szkocki Mac Gregor otrzymał wiadomość o katastrofalnym spadku akcji. Zrozpaczony Szkot kupił sobie sznurek, by powiesić się. Po namyśle postanowił odłożyć samobójstwo do następnego dnia.

Nazajutrz wszystkie akcje poszły w górę, nasz Szkot powiesił się jednak.

Nie chciał marnować sznurka!

* * *

Pewien Szkot pragnął wybudować sobie dom.

Zatelefonował więc do loży masońskiej w Aberdeen z prośbą o przysłanie mu paru wolnych mularzy.

NOWA POKOJÓWKA

Pani: — Na miłość Boską, tam ktoś leży pod łóżkiem...

Pokojówka: — Zauważyłam to już dawno, ale ponieważ dopiero od dziś rozpoczęłam służbę u pani, nie znam jeszcze zwyczajów panujących w tym domu.

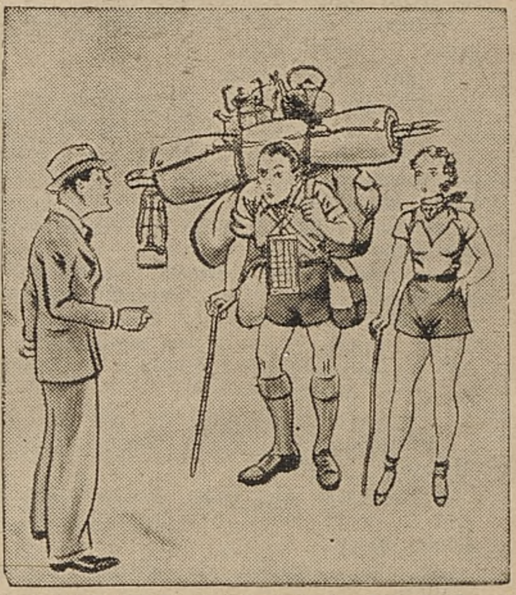
GASTRONOMIA

Nad Limpopo spotykają się dwaj Murzyni.

— Wiesz, O'Mldani, pewna biała kobieta rzuciła mi straszną zniewagę. Dotychczas jej nie strawiłem.

— Zniewagi?

— Nie. Białej kobiety.



„Nie wiedziałem, że się już ożeniłeś!"

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.